

MARIANNA KOCEMBA

# W CIENIU BIAŁYCH BRZÓZ

(WSPOMNIENIA I ZAPISKI - W CZORAJ I DZIŚ)

OPATÓWEK 2012

Wydawca:  
Urząd Gminy w Opatówku

Opracowanie graficzne i skład:  
ZIELONA ŻYRAFA  
[www.zielonazyrafa.com](http://www.zielonazyrafa.com)

Wydanie I  
2012  
ISBN 978-83-936079-0-7

© Copyright - Marianna Kocemba i Urząd Gminy w Opatówku

# MOJE DZIECIŃSTWO

zwyczaje, tradycje i obrzędy doroczne  
w międzywojennym Opatówku

Dzieciństwo moje zaczęło się w małym domku, okolonym brzoza, przy ulicy św. Jana 20 w Opatówku.

Ojciec mój był krawcem. Szył prawie wszystko, od spodni do kożuchów. Pracował całe dni, by wszystkich wykarmić, a była nas liczna gromadka. Mama, gdy znalazła wolną chwilę, wyszywała dziurki artystycznie (sprawnie jak maszyna) i podszywała podszewki do marynarek, żakietów, płaszczy. Rodzina nasza była wierząca i praktykująca. W tym domu, wśród rodziny i przyjaciół spędziłam najwspanialsze chwile mego dzieciństwa. I z tego okresu pamiętam obrzędy oraz tradycje kultywowane od lat.

Na przykład wigilia i Święta Bożego Narodzenia...

Już od wigilijnego poranka trwało wielkie krzątanie i przygotowania do wieczery. Trzeba było utrzc mak na kluski zwane „makielkami”, to znów grzyby suszone zamoczyć, aby piasek nie trzeszczał w zębach. Były to same prawdziwki, które rosły w piasku obok domu. Należało też namoczyć śledzie i groch do kapusty, sparzyć suszone owoce na kompot i zupę owocową, sprawić rybę (karpia), nałożyć go plastrami cebuli i potem smażyć na oleju obtoczonego w mące.

Kiedy mama czyniła przygotowania do wieczery, ja wspólnie z rodzeństwem przystrajałam choinkę. Zawieszaliśmy na niej czerwone jabłuszka, orzechy, pierniki wykrawane foremkami i lukrowane na biało. Wieszaliśmy też anielskie włosy, które bardzo kłuły w palce. Łańcuchy z kolorowego papieru kleiliśmy sami. Na samym końcu zawieszane były świeczki.

Po ustrojeniu choinki, wieczerza była gotowa.

Stół był nakryty białym obrusem, w jego rogu znajdowało się sianko i nakrycie dla gościa. Lampa naftowa płonęła tego dnia bardzo jasno.

Zaczynał tato: najpierw była modlitwa, następnie brał opłatek, który leżał na dużym, porcelanowym talerzu, równo pocięty. Podawał mamie, potem podchodził kolejno do nas – od najstarszego do najmłodszego i każdy brał swój kawałek. Rodzice łamali się z nami opłatkiem, wypowiadając przy tym miłe życzenia, które my odwzajemnialiśmy. Kiedy już wszystkie życzenia zostały przekazane, spoglądaliśmy z wielką niecierpliwością na dymiące misy.

Mama zaczynała nakładać jako pierwsze makielki, następna była zupa owocowa, ryba, kapusta z grochem, grzyby smażone, śledź w śmietanie, do tego podawano gorące ziemniaki i na końcu kompot z suszonego owocu.

Pochłonięci wspaniałymi potrawami nie zauważaliśmy, kiedy mama wymykała się i wracała z koszem pełnym smakołyków. Były w nim: orzechy, jabłka, pierniki, cukierki oraz kilka skromnych upominków. Chłopcy otrzymali koniki z drewna, krasnala i pajaca na sznurku. Była też piłka, loteryjka, a mnie przypadła lalka, której nigdy nie zapomnę. Szmacianka, wypchana trocinami, miała główkę z porcelany. Wozila ją w wózek z zrobionym z pudełka. Ile to było radości! Ta radość udzielała się innym, każdy się cieszył z najmniejszego drobiazgu.

Rodzice żyli przykładnie, bogobojnie, z sąsiadami byli w przyjaźni. W zimowe wieczory schodzili się do nas sąsiedzi, aby wspólnie podzielić się dobrymi i złymi nowinami. Byli to panowie: Józef Galewicz, Stanisław Rajca, Bronisław Mikołaczyk, Stanisław Augustyniak i Wawrzyniec Ślusarz.

Grali w loteryjkę i w różne inne gry, rzadziej w karty (w tysiąca). Lubiłam te wieczory, szczególnie jeden utkwił mi w pamięci.

Przyjechała do nas aż z Krakowa kuzynka Marta. Zaczęła ona opowiadać tak ciekawie o mieście, o ludziach, różnych zdarzeniach. Słuchałam z zapartym tchem, słucha-

łam, słuchałam - aż zasnęłam. Po jakimś czasie zbudziłam się w łóżku. Rozejrzałam się – ciemna noc, wszyscy spali, a ja nie słyszałam do końca opowieści, która mnie tak urzekła.

Zaczęłam płakać, pochlipywać, aż zbudziła się mama i zapytała: „A cóż to ci się stało, moje dziecko?” „Nic” – odpowiedziałam. – „Jak to nic, kiedy płaczesz?” – „Ano, bo ja chciałam jeszcze trochę posiedzieć.” – „Śpij, śpij, bo widzisz, jest noc i wszystkich pobudzisz tym płaczem.” - Ale ja nie mogłam odżałować, że mnie nie obudzono i zastanawiając się, jakim sposobem znalazłam się w łóżku, płakałam dalej. Wtedy moja mama, niewiele myśląc, wstała, wzięła mnie w ręce i posadziła obok pieca na gałązkach, które leżały tam na podpałkę, mówiąc: „No, to teraz sobie posiedź!”

Boże, w izbie było ciemno, gałązki kłują, wszyscy śpią, a ja???

Owszem, chciałam siedzieć, ale za dnia, słuchając opowiadań, a nie sama na gałązkach w nocy. I znów płakałam. Dobre serce mamy nie pozwoliło mi jednak zbyt długo siedzieć i płakać. Na powrót ułożyła mnie do snu.

Rano miałam za swoje. Wszyscy śmiali się i żartowali ze mnie. Trochę było mi przykro za takie zachowanie, ale przebolełam to i czekałam na następne przygody, których łaknęłam.

Zima była śnieżna i mroźna, na szybach mróz wymalował kwiaty i liście, a na dole wzdłuż futryny - szczególnie w rogach - utworzył się gruby lód. Tato rozgrzewał żelazko do prasowania - nie na duszę, tylko całe z żelaza. Przykładał je do lodu, który szybko się topił, trzeba było wycierać ścierakami, przy tym bardzo uważać, aby szyba nie pękła.

Pomimo takiego mrozu wybiegaliśmy z domu na sanki. Były one własnej roboty, zbite z desek z przymocowanym sznurkiem – i to było wszystko. Woziliśmy się kolejno, a które dzieciaki nie miały sanek, korzystały z naszych. Szukaliśmy górki, wzniesień, aby zjeżdżać bez niczyjej pomocy, bo bardzo ciężko było ciągnąć.

Pewnej soboty - wielka niespodzianka. Tato kupił okazjnie sanki, które przyniósł do naszego domu pewien klient. Były robione fabryczne! Wszystkie dzieciaki tak mówiły. Były gładkie, niziutkie, a bieguny miały tak śliczne, że same wprost mknęły po śniegu.

Cieszyliśmy się bardzo, ale ta radość trwała krótko - zwłaszcza dla mnie. Otóż pewnego dnia wyszukaliśmy wspaniałą górkę, której zjeżdżaliśmy. Aby długo nie czekać na swoją kolejkę, w biegu wskakiwało się do tego, który sterował. Ja tak nieszczęśliwie skoczyłam, że całym ciężarem upadłam na nieco wystającą klapkę, a ta z trzaskiem odłamała się.

Jak teraz wrócić do domu z tak okaleczonymi sankami? Klapki nie da się już teraz przykleić... Płakałam bardzo mocno i długo. Wreszcie musiałam zdobyć się na odwagę i pójść do rodziców z tym wielkim przewinieniem. Kłamstwo nie wchodziło w rachubę. Byłam przygotowana na najgorsze.

Tato bardzo się gniewał, potraktował mnie dość ostro. – „Przez dwa dni nie wyjdiesz z domu, sanki odpoczną od Twych skoków” – usłyszałam.

Nie było tak źle, bo wcale sama nie siedziałam. Nikt nawet nosa nie wystawił za drzwi, bo mróz był tak siarczysty, że ręce przymarzały do klamki, a kiedy otwierało się drzwi, buchała para. Wszyscy siedzieli w domu. Bawiliśmy się w „Zgaduj zgadula” i inne zabawy.

Powoli mróz stawał się łżejszy. Jeszcze było trochę zabawy na śniegu, aż do okien zaczęło zaglądać słońce.

Bałwan Błażeja zrobił się malutki, tylko garnek na głowie i wielki nos z marchwi były takie same. Błażej dziwił się bardzo, że wczoraj bałwan był taki duży, a dziś ledwie go widać od ziemi. Prawie płakał z żalu.

Zima minęła bezpowrotnie. Śniegi stopniały, zrobiło się szaro - ale na krótko. Słońce zaczęło coraz mocniej ogrzewać matkę ziemię. Trawa zazieleniała się szybko, drzewa przystroili się w paki, a rankiem było słyszeć śpiew skowronka.

Nadeszła najpiękniejsza pora – wiosna, a wraz z nią milowymi krokami zbliżały się Święta Wielkanocne. Poprzedza je, jak wiadomo, Wielki Post, który był u nas przestrzegany bardzo sumiennie przez trzy dni w tygodniu: środę, piątek i sobotę. Przyjmowaliśmy to wszystko bez zbędnego szemrania.

Zaczynało się od Środy Popielcowej. Obowiązkowo szliśmy wówczas do kościoła, jak rodzice mawiali, „na popiół”.

Trudno nam było zrozumieć, co to znaczy i dopiero po powrocie do domu mama nam tłumaczyła, że posypanie głowy popiołem to znak pokuty i od tej pory trzeba zachowywać się skromnie, bez żadnych śpiewów, wesołych zabaw, nie objadać się i w te trzy dni w tygodniu absolutnie nie jadać mięsa.

Najbardziej, co lubiłam w te postne dni, to zupę zwaną „kapuśniczką”, pyszną, gotowaną na warzywach i suszonych grzybach. Pod koniec gotowania tej zupy wlewało się sok z kwaszonej kapusty, dodawano majeranek, cebulę opiekaną na blasze i liść bobkowy. Była ona zaprawiana w żółtko. Do niej były kluski drobno krojone, oczywiście, z żytniej mąki.

Następny mój przysmak to śledzie solone, takie z beczki, z mleczem i ikrą w środku. Mlecz był lepszy, gdy ucierało się go z mlekiem i była wspaniała zupka. Dodawało się dużo cebuli sparzonej wrzątkiem. Do tego podawane były ziemniaki, jak tato mówił. „w mundurkach”.

Nie lubiłam natomiast zupy z bani (dyni), bo była taka nijaka – mało słodka, trochę słona. Podawano ją z kluskami, tak zwanymi „perczakami” (ucierało się surowe ziemniaki na tarce, dodawano mąkę żytnią i sól, wymieszano i kulano w rękach, aż utworzyły się podłużne kluski).

Choć niektóre potrawy lubiło się bardziej, a inne mniej, to wszystko trzeba było jeść i nie grymasić. Inaczej byłoby się głodnym. Przede wszystkim zaś była to kwestia posłuszeństwa wobec rodziców.

Wreszcie Post miał się ku końcowi i nadchodził Wielki Tydzień. Teraz poza niejedzeniem wielu potraw zwracano uwagę na odpowiedni strój, skromne zachowanie i nieprzeglądanie się zbyt w lusterku.

Trochę rozładowania nastąpiło w Wielki Czwartek. W środę wieczorem rodzice zapowiedzieli, żeby każde z nas zrobiło gniazdo dla zająca i położyło w takim miejscu, aby zając miał do niego dostęp. Wielki Czwartek jest bowiem dniem, w którym dzieją się nieprawdopodobne rzeczy i nawet zając potrafi znieść jajko.

Gniazda wykonaliśmy solidne, ze słomy i siana. Zanieśliśmy je do ogrodu i ułożyliśmy pod krzakami porzeczek. Nazajutrz nie mogliśmy doczekać się, kiedy udamy się do ogrodu i zajrzymy do gniazd. Wreszcie idziemy wszyscy: Kacper, Błażej, Ewelina, Natalka i ja z rodzicami. I oto dziw nad dziwy! Z krzaka wyskakuje zając! Podbiegamy do gniazd – są jajka, jeszcze ciepłe! Rodzice oniemieli, ale to był fakt. Kacper był taki szczęśliwy, że w porę przyszedłszy i mogliśmy zobaczyć na własne oczy jak zając opuszczał gniazdo i uciekał przed nami, hen - do lasu (nasz ogród właściwie był tuż pod lasem). Błażej opowiadał o tym zdarzeniu wszystkim z wielką radością i przekonaniem, a i rodzice potwierdzali z całą stanowczością, że to była prawda.

Minął Wielki Czwartek pełen niezapomnianych wrażeń. Przed nami największy post w roku – Wielki Piątek. W domu panowała cisza. Mieliliśmy tylko jeden posiłek do syta. Czarna kawa zbożowa w garnku - kto miał pragnienie, pił. O godzinie trzeciej po południu usłyszeliśmy syrenę strażacką. Stanęliśmy w skupieniu, odmawiając trzykrotnie modlitwę: „Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami. I Ty któraś współcierpiała, Matko Bolesna, przyczyn się za nami”. Na godzinę piątą po południu poszliśmy do kościoła. Pana Jezusa przenoszą do ciemnicy, jest to bardzo smutny obrzęd. Dzwony już nie biją, ministranci posługują się kołatkami, jest bardzo cicho.

Po modlitwie wracamy do domu. Nie ma żadnego siedzenia, po skromnym posiłku idziemy spać.

Ranek Wielkiej Soboty jest już weselszy. Mieliliśmy wówczas dużo przygotowań do Świąt.

Mama od samego rana zarabiała ciasto drożdżowe na placek z kruszonką i baby wielkanocne, a do ich środka dodawała dużo rodzynek.

Zapachy mieszały się – wanilia, migdały, zapach parzonej szynki (prawdziwej z kością i tłuszczem własnoręcznie peklowanej). Mama przyrządzała również pasztet. Niczego jednak nie wolno było próbować. Kiedy szynka dostatecznie się sparzyła, a jajka ugotowano w łuskach cebuli na brąz i w życie na zielono, przygotowano koszyczek i kolejno wkładano: jajka, szynkę, białą kielbasę, chleb, babkę, placek, wszystkiego po kawałku, sól, pieprz, masło, chrzan utarty własnoręcznie. Wszystko to nakryte białą, wykrochmaloną serwetką, niosło się do kościoła, aby poświęcić.

Wracając z poświęconymi pokarmami do domu wypowiadało się formułkę „Święcone do domu, a złe z domu”. Stawiało się koszyczek na stole, aby dopiero w poranek wielkanocy wyłożyć jego zawartość na talerz i dzielić się „święconym”.

Wielkanoc. Wcześniej rano na godzinę szóstą idziemy do kościoła na Rezurekcję. „Chrystus Zmartwychwstał” – zaintonował ksiądz i cały kościół aż drżał w posadach od potężnego śpiewu, a dzwony grały i grały. Po zakończeniu mszy świętej ludzie wracali do swoich domostw. Po drodze wszyscy się pozdrawiali, uśmiechali, zniknął wszelki smutek i żal. Nastąpił dzień wesela i radości.

I my, rozpromienieni, prawie wpadaliśmy do domu. Wyposzczone żołądki czekały od dawna na świąteczne przysmaki.

Wreszcie wszystko było gotowe: stół wygląda pięknie, przystrojony zielonymi gałązkami borówek. Wśród pysznych pokarmów, króluje talerz ze „święconym”, z którego tato jako pierwsze bierze jajko, gdyż to symbol życia i zaczyna dzielenie. Podaje każdemu, wypowiadając przy tym życzenia dla wszystkich, następnie dzieli wszystko, co było święcone. Po tych ceremoniach pierwsze miejsce wśród kosztownych pyszności ma gorąca biała kielbasa, następnie szynka i jajka. Ciasto jemy na końcu. Choć było takie pachnące, nie mogliśmy wiele posmakować, bo przedtem zjedliśmy tyle wszystkiego, że nie było ich już gdzie zmieścić. Po śniadaniu nie odchodzić od stołu - tak przyjemnie się rozmawia. Atmosfera jest cudowna.

Nagle przypomniałam sobie, jak tato opowiadał o Staszku, że chodził błądy, mizerny, nawet u lekarza był, ale nic to nie pomogło. A stryj, niby znawca medycyny, oznajmił mu, że na pewno ma tasiemca i on mu poradzi, jak się go pozbyć. Wówczas będzie zdrow jak ryba, a rumieńce wrócą na jego policzki. Stryj radził: „Musisz chłopcze być cierpliwy, zaczekać do Wielkanocy i rankiem wziąć kawał kielbasy z dużą ilością chrzanu i zjeść to na wygłodzony, pusty żołądek. Na efekt nie musisz długo czekać, bo bestia zatruje się i wyjdzie sama z ciebie.”

Skorzystałam z okazji, że jest pora odpowiednia (była Wielkanoc), aby dowiedzieć się czegoś o tym tasiemcu i dlaczego trzeba było czekać aż do Wielkanocy? Co to za tajemnica?

Odpowiedź od mojego taty otrzymałam następującą: „Tasiemiec, moje dziecko, to taki długi robak (pasożyt), który dostaje się do jelit człowieka i wysysa soki potrzebne do życia. A jeśli chodzi o to, kiedy należy zastosować owo leczenie, to nie ma nic wspólnego z żadną tajemnicą, bo skąd było wziąć kielbasę z chrzanem, jak nie na Wielkanoc?”

Tak zakończył się jeden z najpiękniejszych poranków wielkanocnych. Reszta dnia też była wspaniała. Kiedy zbliżał się wieczór, każdy z nas po cichu myślał o przygotowaniu odpowiedniej butelki, aby ją napełnić wodą zaczerpniętą ze studni. Wszak jutro „lany poniedziałek”!

Następnego dnia obudziliśmy się skoro świt, sami, bez nawoływania, zaskakując jeden drugiego i polewając go wodą z okrzykiem „śmigus dyngus!”. Polewaliśmy również rodziców - ale ostrożniej.

Następnie wybiegamy na drogę, gdzie jest już mnóstwo dzieciaków i każdy trzyma butelkę napełnioną wodą. To dopiero było lanie! Wróciliśmy do domu wyglądając jak zmokłe kury. Trzeba było się przebrać. Cała odzież była bowiem przemoczona, a głowy mama musiała osuszać nam ręcznikiem. Ile przy tym było gadania, że nie mamy żadnego umiaru i jak można tak się doprowadzić! „Łada chwila dzwony zaczną wzywać na mszę świętą, a tu wszystko zmoczone. Dziś pójdziecie na mszę południową, może do tej pory uda się odzież wysuszyć” – zdecydowała mama.

Żadnej kary jednak nie było, ponieważ tradycja nakazywała lać wodę w Poniedziałek Wielkanocny.

Jeszcze długo żyliśmy wspomnieniami Świąt Wielkiej Nocy...

Ale czas nie stoi w miejscu, lecz biegnie uparcie do przodu. I nie wiadomo kiedy, przyleciały do nas bociany! Gdy ukazały się naszym oczom, wołaliśmy z zachwytem: Boćki nasze powracają, bo nas lubią i kochają! Boćki, nasze boćki!

Godzinami obserwowaliśmy, nad czym kominem krąży bociek, wierząc, że jeśli krąży trzy razy, tam na pewno urodzi się dziecko. Mieliśmy to już sprawdzone.

Gdy Błażej miał przyjść na świat, nasz komin dokładnie okrążony był trzy razy. Doszliśmy do wniosku, że tego roku przyjdzie na świat mnóstwo dzieci, gubiliśmy się w liczeniu, tyle kominów było obleżonych. Bociany bowiem krążyły i krążyły.

Byliśmy tak zauroczeni powrotem bocianów, że śniły się nam one po nocach. Wreszcie oswoiliśmy się z nimi i wydawało nam się, że już zawsze zostaną z nami.

Wieczorem, po wspólnej kolacji, rodzice rozmawiali, że kończy się pięćdziesiątnica (50 dni po Zmartwychwstaniu), a to oznacza, że Zielone Świątki tuż tuż i trzeba pomyśleć o letnim przyrodziewku.

Zielone Świątki to inaczej Święto Zesłania Ducha Świętego. Bardzo cieszyły mnie te święta, bo były inne od wszystkich. Oprócz tego, że pieczono placek, przygotowywano obowiązkowo „zimne nogi” (galaretkę mięsną) i pyszny obiad, to wszędzie panował niecodzienny wystrój mieszkania i obejścia.

Jak wiadomo, Zielone Świątki są obchodzone w niedzielę, toteż już w sobotę w godzinach popołudniowych trzeba było pozamiatać podwórze, posypać je żółtym lub białym piaskiem, a w furtce, przy werandzie i drzwiach wejściowych ustawić gałęzie z brzozy.

Ponadto w oknach, za świętymi obrazami i w wazonie ustawiało się pachnące „łabuzie” (tatarak). Wszystko to pachniało i cieszyło oko.



Była jeszcze jedna atrakcja. Oto około 10 kilometrów od nas znajduje się miejscowość Dębe. Tam właśnie odbywał się odpust z okazji tego święta i to przez dwa dni, niedzielę i poniedziałek.

Szliśmy do tego uroczego kościółka pieszo całą gromadką. Opiekowali się nami dorośli, którzy znali tę drogę bardzo dobrze. To pielgrzymowanie sprawiało nam wielką przyjemność. Po drodze wypadały wspaniałe odpoczynki, a wtedy każdy wyciągał z torby to, co miał, przeważnie gotowane jajka, chleb, placek, herbatę z butelki zatkanej korkiem. Najprzyjemniej było odpoczywać w lesie, gdyż było tam mnóstwo pachnących konwalii. Nie bardzo wiedzieliśmy, czy można je zrywać, ale było ich tyle, że nawet nikt z dorosłych nie zauważył, jak każdy z nas trzymał w ręku bukiet dla mamy, bo nie zostawialiśmy w lesie żadnego śladu naszego działania.

Do domu wracaliśmy zmęczeni, ale szczęśliwi i zadowoleni. Nasi rówieśnicy (i nie tylko), którzy zostali w domach bardzo żalowali, że z nami nie wyruszyli i od tej pory nie odstępowali nas, aby broń Boże nie ominąć jakiegoś ważnego wydarzenia.

A nie trzeba było na nie zbyt długo czekać.

Zbliżała się bowiem wigilia św. Jana Chrzciciela, a wraz z nią wspaniała tradycja puszczania wianków na wodę, rozpalania ognisk i wiele innych zwyczajów nocy świętojańskiej.

Od rana już – zarówno starsi jak i młodszy ruszali na pola i łąki szukać kwiatów, aby uwić wianki. Udało się! Wianki gotowe, a co jeden, to ładniejszy. Poszliśmy nad rzekę, aby się nie spóźnić. Zastaliśmy tam ciżbę ludzi. Było sporo śmiechów i sprzeczek, gdyż czyniono sobie różne wróżby z krótszego lub dłuższego utrzymania się wianka na wodzie. Której panny wianek jako pierwszy dopłynął do brzegu, ta jako pierwsza miała wyjść za mąż, a który wianek najdłużej trzymał się na powierzchni, ten wróżył jego właścicielce długie życie.

Następnie rozpalano ognisko, starsi śpiewali pieśni, tańczyli i skakali przez ogień. Było tak pięknie, a my, dzieciaki, musieliśmy wracać do domów. Tylko dorośli bawili się beztrudnie, a o północy chętni i odważni szli szukać kwiatu paproci, który miał taką czarodziejską moc, że temu, kto go znajdzie, miały odkryć się wszystkie skarby świata. A kwiat ten kwitnie tylko w tę jedną noc, najkrótszą w roku.

Zazdrościliśmy dorosłym, że nie mogliśmy tego wszystkiego przeżyć, ale cieszyło nas, że od następnego dnia będziemy mogli chodzić nad rzekę i kąpać się do woli, ponieważ św. Jan ochrzcił wodę. Tak mówili rodzice, i choć już wcześniej słońce mocno grzało, a woda była ciepła, przed 24 czerwca zabraniano nam wstępu nad rzekę, gdyż według ludowych wierzeń można było utonąć w takiej nie ochrzczonej wodzie. Nie miało nawet znaczenia to, że zawsze chodziliśmy ze starszym rodzeństwem, a woda była płytka.

Uwielbialiśmy rzekę i kąpiel w niej, ale to nie wszystko, co mieliśmy do roboty. Trzeba było bowiem zająć się młodszym rodzeństwem. Biegaliśmy także do pobliskiego sklepu, najczęściej po sól, zapalki, naftę i drożdże. Chleb mama piekla sama, twierdząc, że taki jest smaczniejszy i tańszy. Ciasto na chleb mama zarabiała na serwatce lub maślanec. Kiedy formowała bochenki, zawsze zostawiała trochę ciasta na małe bułeczki dla nas. Do środka wkładała kawałek jabłka lub śliweczkę, a wierzch posypywała makiem. Kiedy chleb był w piecu, rozchodził się jego wspaniały zapach. Całe podwórze pachniało i nęciło podniebienie. Bułeczki były już wcześniej wysadzone z pieca i studziły się na werandzie. Mama przestrzegała nas, aby nie jeść ciepłych, gdyż można było dostać skrętu kiszek. Nam już skręcały się kiszkę - ale z głodu. Nic jednak nie mogliśmy na to poradzić, trzeba było czekać.

Lato, jak pamiętam, zawsze było upalne, toteż biegaliśmy boso. Kilkanaście metrów od domu rozciągały się tzw. piaski, gdzie bawiliśmy się. Budowaliśmy domy, młyny, kopaliśmy rowy. Poza tym graliśmy w piłkę: w dwa ognie, w żyda i w klasy (w tę ostatnią grę grały głównie dziewczęta).

Ciekawe też było pasanie kóz. Prawie wszyscy nasi sąsiedzi hodowali bowiem króliki, kozy i kury. Pasało się gromadnie, a tam dopiero była zabawa. Mnie to nie dotyczyło, gdyż pasieniem zajmował się starszy brat, Kostek, czego mu bardzo zazdrościłam. Ja na pastwisko szłam wtedy, gdy zanosłam mu jedzenie. Wówczas trochę tam zostawałam i bawiłam się z innymi.

Zbliżała się jesień i zaczęto na pastwiskach rozpalać górajki. Rodzice zezwalali wtedy nam młodszym dzieciom, przebywać tam ze starszymi. Pomagaliśmy zbierać gałęzie, a każdy starał się przynieść ich jak najwięcej i żeby były grube, aby ogień dłużej utrzymywał się, gdyż piekły się w nim ziemniaki. Apetyty rosły, zapach nęcił, ale trzeba było czekać. A kiedy ziemniaki upiekły się już, starsi dzielili je pomiędzy wszystkich. Było przy tym dużo śmiechu, bo i w ręce parzyły, i były tak czarne, jak węgielki, a my, umurzeni jak kominiarze.

Gdy posmakowaliśmy trochę, opowiadano ciekawe bajki – o królewnach i czarownicach, a Staszek (który miał tasiemca) opowiadał o dwóch Maćkach – biednym i bogatym.

Jeszcze większa była radość, kiedy przyszedł pan Podkowski, którego bardzo lubiliśmy. On pasał krowę, przyniósł nam jabłek i opowiedział piękną bajkę o pewnym pastuszk, który znalazł skarb w lesie. Często rozdawał nam jabłka, które nazywały się zrosłaki.

Roześmiani i umorusani wracaliśmy do domów. Mama grzała wodę na piecu i w misce myliśmy się kolejno.

Jesień to piękna i pracowita pora roku. W sadach znajduje się tyle owoców! W lesie jest również pięknie, liście mieniają się wszystkimi kolorami, a grzyby pyszną się swym wyglądem. Ach, jak ja lubiłam las i zbieranie grzybów! Las mnie urzekał! Grzyby rosły przeróżne – i te dobre, i te czerwone muchomory, a w liliowym wrzosie często ukrył się kozłak albo krawiec. Kilka razy udało mi się znaleźć wspaniałe okazy; nawet bałam się sama wrywać, aby nie urwać głowy, wołałam wtedy kogoś starszego do pomocy. Mój brat Kostek miał więcej szczęścia, bo znalazł tak potężnego grzyba, prawdziwka, że wszyscy go omijali, myśląc, że to leży ... kamień. Wążony nie był, ale wystarczył na kolację dla całej naszej rodziny. Co prawda mama dołożyła do niego dwa jajka, przyrządzając smaczną potrawę.

Kiedy my zachwycaliśmy się lasem i grzybami, mama musiała myśleć o zapasach na zimę. Przebierała więc grzyby: do jedzenia i suszenia oraz do marynowania. Marynowała również banie (dynię), którą lubiłam. Była słodko-kwaśna z pachnącymi goździkami cynamonowymi. Robiła też sok z dzikiego, czarnego bzu, aby zimą, gdy któreś z nas się przeziębi, podawać go do herbaty. Suszyła także czarne jagody i robiła sok z malin, które miały zastosowanie w razie choroby.

Mama wyparzyła wrzątkiem beczkę na kapustę, która ubijana była tradycyjnie - deptana nogami. Do środka nieraz wkładała całe jabłka i konieczne małe główki kapusty. Kiedy nabierała z beczki kapustę do gotowania, my już czekaliśmy na swoją porcję. Dostawaliśmy główkę kwaśnej kapusty, którą się obierało liść po liściu i zajałło z wielkim apetytem.

Buzie mieliśmy wówczas czerwone jak raki, ale mama mówiła, że to jest nam potrzebne dla zdrowia.

Ledwie uporano się z przygotowaniem zapasów na zimę, a już nadchodził 1 listopada - dzień Wszystkich Świętych. Szliśmy na pobliski cmentarz, zapalaliśmy świece i modliliśmy się za zmarłych. Wieczorem tego dnia jedliśmy świąteczną kolację, nieco inną niż zwykle. Potraw było bowiem trochę więcej, aby po wieczerzy coś zostało. Nie sprzątano nic ze stołu, gdyż - jak wierzono - w nocy mogły zjawić się i gościć dusze potrzebujące pokarmów.

W niecały miesiąc po dniu Wszystkich Świętych obchodzono andrzejki. Pamiętam jak starsze siostry, Kazia i Hania oraz ich dwie koleżanki wspólnie wróżyły sobie: trzęsły płotem i nasłuchiwały. Z której strony pies zaszczeakał, z tej strony miał przybyć kawaler. To znów zrywały gałązki z wiśni, wkładały do wody, sprawdzając, czy zakwitły one na Boże Narodzenie. Jeśli tak się stało, wróżyło to długie i kwitnące życie. Wreszcie siostry i koleżanki siadały na podłodze i przerzucały pantofle przez ramię. Jeśli pantofel ustawił się czubkiem do drzwi, to jego właścicielka miała wcześniej wyjść za mąż, a jeśli obcasem - miało to nastąpić nieprędko. Na koniec następowało lanie wosku. Do miski z wodą wkładano patyki z miotły do zamywania, wlewając na to kolejno gorący wosk. Po chwili wyciągano już gotowe przeróżne cudetka. Ulewały się: postaci książąt, rycerzy na koniach, dzieci, zwierzęta, a czasem potwory, których trzeba było się bać. Wieczór pełen był humoru i śmiechu.

Niebawem następował adwent - oczekiwanie na Boże Narodzenie.

Tak upływało mi szczęśliwe, wspaniałe dzieciństwo, bez kłamstwa i kłótni, wśród kochających rodziców, tudzież liczego rodzeństwa.



## ULICAMI OPATÓWKA...

Pamiętam także ulice, sklepy i ludzi,  
którzy tam mieszkali.

## PLAC WOLNOŚCI W OPATÓWKU

Dom Gillerów. Tu w roku 1831 urodził się najgłośniejszy w swym czasie dziennikarz i publicysta - Agaton Giller, członek Rządu Narodowego, a w roku 1834 przyszedł na świat jego brat - Stefan January Giller, profesor szkół kaliskich, poeta o pseudonimie „Stefan z Opatówka”.

Do roku 1939 - tj. do wybuchu II wojny światowej - w tym domu mieszkała pani Wiza. Zajmowała ona cały parter, w którym prócz izb mieszkalnych, mieścił się sklep win i wódek, jedyny w Opatówku posiadający na to zezwolenie.

Na piętrze zaś mieszkała pani Essersowa, artystka – malarka.

Nikt nie mówił że mieszka w domu Gillerów, tylko u Sadowskiej, a śmieszniej - u Lilijki. Pamiętam tę panią Jadwigę Sadowską: mieszkała w suterenie, latem zrywała dziewanny obok naszego domu.

„A Stefan January Giller, syn Jana Kantego, Giller...” sporządził testament w dniu 15 maja 1918 roku. Czytamy w nim: *Takowym majątkiem rozporządzam następującym sposobem: jedną trzecią część »rozporządzalną« mego mienia zapisuję uczciwej zarządczyni mego mienia pani Jadwidze Sadowskiej, córce Piotra, wiernej towarzyszce mej starości, zawdzięczając pracy i staraniom której byłem w stanie dźwignąć z gruzów ojcowiznę i grobowiec rodziców moich, której nie wypłaciłem pensji za ostatnie trzy lata, a która utrzymywała mnie przez czas wojny ze swoich funduszów, gdyż ostatnia wojna zastała mnie bez gotówki, a dochodów nie miałem.*

Odpis owego testamentu, opatrzony pieczęciami i podpisem rejenta Wyganowskiego, znajduje się w moim posiadaniu.

Opodal domu znajdował się duży ogród. Oprócz drzew owocowych i warzyw były tam dwie sadzawki, w których woda była tak czysta, że pani Wacława Essersowa kąpała w nich swoje dwie wnuczki.

Obok domu Gillerów mieścił się Skład Spółdzielczy z Koźminka. Sprzedawano tam węgiel, drewno oraz artykuły spożywcze. Następna posesja to piekarnia i sklep Dreszerów, a obok sklep rzeźniczy, którego właścicielem był Fejcht. Dalej znajdował się sklep spożywczy Łapszów, w którym sprzedawczynią była Stefania Sztrajt–Woźniak.

W rynku na miejscu poprzedniego kamiennego kopca z 1928 roku postanowiono postawić pomnik, nad którego budowę czuwał komitet w składzie: Herman Fejcht – Prezes Związku Strzeleckiego, który przywiózł wizję pomnika z białostockizny, Władysław Tatarczan – Komendant Związku i Kierownik Szkoły Powszechnej w Opatówku, Stanisław Salamon – Sekretarz Związku, Adolf Ploetzke – dyrygent orkiestry strzeleckiej, nauczyciel oraz Zygmunt Mańko i Stefan Cichy.

Pomnik został zbudowany z cegły przez Teodora Wiewiórkowskiego. Nyl otynkowany i ozdobiony pięcioma kulami. Na frontowej ścianie wmurowano medalion z popiersiem Józefa Piłsudskiego, wykonany z brązu, a zakupiony przez Urząd Gminy i Związek Strzelecki, oraz tablicę z napisem: „X-lecie odzyskania niepodległości”. Odsłonięcie pomnika odbyło się 22 listopada 1931 roku. W uroczystości wzięła udział orkiestra 29 Pułku Strzelców Kaniowskich z Kalisza, delegacje organizacji strzeleckich z pobliskich miejscowości oraz licznie zebrani mieszkańcy. Od tej pory pomnik, zwany „Pomnikiem Wolności”, stał się centralnym punktem miasteczka.

Do wybuchu II wojny światowej pomnik był świadkiem najważniejszych wydarzeń lokalnych.

Jedną z pierwszych decyzji okupacyjnych władz niemieckich było rozebranie pomnika. Przetrwał jedynie dąb, który, pomimo znacznego uszkodzenia w czasie dzia-

łań wojennych w styczniu 1945 roku, odrodził się i do dziś jest ozdobą rynku w Opátówku. Muszę nadmienić, że ów dąb był posadzony obok poprzedniego pomnika już w 1928 roku. W sąsiedztwie dębu znajdowała się remiza strażacka.

Na tymże rynku odbywały się raz w miesiącu jarmarki. Kilkanaście metrów dalej usytuowana była pompa, z której mieszkańcy czerpali wodę. Po prawej stronie (w kierunku Łodzi) znajdował się blok szkolny, w którym na narożniku miała sklep spożywczy Żydówka Jarecka, sklep spożywczo–delikatesowy - Zenon Nowicki, następny sklep rzeźniczy - pan Piotrowski, pani Wiewiórkowska pasmanterię i przetwory mleczarskie, pani Banasiak sklep spożywczy (później zaś Świtnicki restaurację). Po lewej stronie Żyd Tondowski miał dom mieszkalny, a w nim sklep z materiałami. Mieszkali u niego: Świtalscy, Stanisław Salamon, Stefan Melka na strychu. Były tam dwie benzynownie. Jedną miał pan Wrocławski, a drugą pan Tutudzki.

## ULICA ŁÓDZKA

W stronę Łodzi po lewej, na narożniku, miał restaurację pan Szaliński. Na piętrze mieszkał Czapnik, Lubelski Żyd, następnie rzeźniczy sklep prowadził Fejcht, sklep spożywczy Faugin – Żyd, a obok sklep również spożywczy Żyd Adler. Mieścił się on w domu Knopów. Dr Dakura mieszkał u Fejchta na piętrze.

W domu Smolczyńskich Żyd miał pracownię bucików dziecinnych. Na maszynie szła u niego pani Prucińska. Mieszkał tam również rymarz – pan Wróblewski. Na końcu mieszkał i prowadził kuźnię kowal pan Mosiński. Po prawej stronie ulicy Łódzkiej, na narożniku, mieszkał Bronisław Biskup. W jego domu skład zboża i mąki miał Józef Paszkiewicz. Następny skład zboża i sklep spożywczo-gospodarczy posiadał Żyd Kołtun. Rzeźnictwo pan Bieńkowski, następnie to Fabryka Lalek i Zabawek Drewnianych państwa Pinczewskich. W fabryce pracowało mnóstwo ludzi, starsi pamiętają wiele nazwisk m. in. produkcją lalek zajmowali się pan Sztandera i jego żona. Był to bardzo ciekawy proces: nogami ugniatano ciasto, które powstawało z mąki, gazet i wody. Z tej to masy formowano przepiękne lalki. Pani Celina Krzywik–Wojcieszak szła dla nich sukienki, a pani Nowakowska–Dolaczyńska prasowała je. Pani Bretsznajder–Gutrych sortowała je i układała, a Maria Augustyniak wprawiała oczy i przyklejała rzęsy.

Lalki z fabryki Pinczewskich wysyłano w świat. Produkowano tam również zabawki drewniane: pajace, koniki, murzynki i klocki, służące do loteryjki, które posiadaliśmy u nas w domu. Majstrem w tej fabryce był pan Franciszek Posilek, innym pracownikiem, którego pamiętam był pan Józef Kliber.

Na tej ulicy znajdowała się również naprawa rowerów, którą prowadził pan Welcer. Golibrodą był pan Jagodziński, o którym mówiono: goli, strzyże i rwie zęby.

Po tej samej stronie miał ogrodnictwo pan Kordas, a jego następcą został pan Zieliński.

## ULICA 3 MAJA

Cofając się do początku ulicy Łódzkiej, od placu Wolności w lewo znajduje się ulica 3 Maja. Stefan Adamczewski posiadał tam piekarnię oraz sklep piekarniczy, po drugiej zaś stronie znajdował się skład węgla i drewna, którego właścicielem był Stanisław Kowalkiewicz. Następna była duża kamienica Szendla – a w niej mnóstwo lokatorów. Wyżej pod górkę widać było budynek kolejowy i strzeżone tory, przez które przechodzili ludzie na „zmyślanke”.

## ULICA KOŚCIELNA

Na prawo od Placu Wolności biegnie ulica Kościelna. Na samym jej rogu znajdowała się tak zwana Preparanda Nauczycielska, która istniała od 1919 do 1925 roku. Jej absolwenci kontynuowali naukę w Seminarjach Nauczycielskich i kierowani byli do pracy w szkołach.

Przy Preparandzie Nauczycielskiej powstała bursa nad którą czuwała Rada Opiekuńcza. W skład Rady wchodziło: Zofia Schlösserowa – właścicielka majątku w Opatówku, Ignacy Chrystowski – właściciel majątku w Tłokini, Józef Trojanowski, ksiądz Adam Marczewski – proboszcz parafii Opatówek i prefekt Preparandy oraz kierownik Józef Perzyna. Rada Opiekuńcza kontrolowała wydatki bursy i w razie potrzeby udzielała pomocy żywnościowej wychowankom tejże bursy.

W miejscu dawnej Preparandy utworzono Państwowe Seminarium Ochroniarskie dla dziewcząt przedszkolank. Po tej samej stronie stał budynek, w którym mieściło się kino, następnie apteka w domu Kantorskiego, od lat będąca w posiadaniu pani Natalii Zawadzkiej, obok sklep rzeźniczy Kordasów, okazały budynek Poczty, a na samym rogu już wspomniany domek neogotycki. Po lewej stronie jako pierwsza znajdowała się Fabryka Sukna, opisana już wcześniej ze szczegółami. W następnym budynku fabrycznym mieściła się biblioteka, którą prowadziła Bronisława Zimna-Tomaszewska. Odbывały się tam też spotkania różnych organizacji. Dalej był fryzjer - pan Henryk Strycharski, następnie piękny kościół, który zostanie opisany niżej. Za kościołem znajdował się wysoki płot, następnie biała brama, rozsuwana na dwie strony, a tuż za nią duży owalny klomb, który zachwycał kolorami kwiatów. Opodal stał okazały budynek – Pałac Schłössera.

Tuż po wojnie, w lutym 1945 roku, dzieci poszły do szkoły, która mieściła się w dawnej Preparandzie. Trwało to jednak bardzo krótko i już w kwietniu została ona przeniesiona do pałacu. Jej kierownikiem był Leon Rosiak.

Do budynku wchodziło się szerokimi schodami.

Na dole i u góry murowanej balustrady ustawione były ukwiecone gazony. Na korytarzu stał duży zegar, a nad nim umocowana wielka wypchana głowa dzika, która robiła wielkie wrażenie.

Uroczystości szkolne odbywały się przed gankiem pałacu. Na tarasie stali wówczas nauczyciele z kierownikiem szkoły, a uczniowie na dziedzińcu. Pamiętam pewien konkurs na staranne i ładne pisanie, w którym wzięłam udział. W dniu rozstrzygnięcia pogoda była deszczowa i ceremonia wręczania nagród odbywała się wewnątrz na schodach. Nagrodami były zeszyty w jedną linię o papierze tak szorstkim, że pisząc stalówką i atramentem bardzo się go zalewało i robiły się kleksy. Ale ważna była nagroda wręczana przez kierownika szkoły z pieczęcią i podpisem. Otrzymałam również taki zeszyt: była to druga nagroda za staranne i ładne pismo. Zeszyt ten zachowałam na pamiątkę i przez szereg lat przypominał mi on tamte szczęśliwe dni.

Z dniem 17 kwietnia 1945 stanowisko kierownika Szkoły Podstawowej w Opatówku objął Jan Jaśkiewicz. Był on zasłużonym wychowawcą kilku pokoleń Opatowian, wzorem pracowitości i sumienności. Uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, zmarł 28 lutego 1981 roku.

## ULICA KALISKA

W domu Pawłowskich miał sklep rzeźniczy Łapsz, dalej zaś Skiba prowadził piekarnię i sklep piekarniczy we własnym domu. Była tam również piwiarnia, którą prowadził jego ojciec.



Od ulicy Poprzecznej sklep spożywczy we własnym domu miała pani Kuczakowa, następny sklep rzeźniczy - pan Łukaszczyk, później Salamon. Był też rymarz - pan Klimczak. W tej samej linii mieszkał Żyd Szlamiak, rzeźnik – rzeżak, który sprzedawał Żydom mięso koszerne, dokonując uboju rytualnego drobiu, bydła i cieląt (mięsa wieprzowego wyznawcy judaizmu ze względów religijnych nie jadali). Zadanie takiego rzeżaka polegało na tym, by uśmiercić zwierzę jednym pociągnięciem przy pomocy bardzo ostrego noża. Inaczej bowiem mięso stawało się trefne i nie mogło być spożywane przez Żydów.

Opodal domu państwa Wanatów, po lewej stronie w kierunku Kalisza, usytuowana była pompa, z której czerpano wodę. Również po tej stronie znajdowały się budynki mieszkalne: Augustyniak wypłatał przeróżne koszyki, Cecylia Żulicka była krawcową, a obok Pogorzelec - rolnikiem. Po prawej mieszkał Konstanty Żarnecki. Nie miał on ręki i prowadził gospodarstwo rolne.

I tu kończyła się ulica Kaliska. Odgradzał ją mur, a poza nim był ogród dziedzica (tak zwany kuchenny). Zajmował się nim pan Stankiewicz, który mieszkał w niewielkim domku pośród ogrodu.

## ULICA ŚW. JANA

Na rogu ulic Kaliskiej i św. Jana, jednej z najstarszych ulic w Opatówku, sklep spożywczy miała pani Stanisława Witkowska-Tatarkowa. W tej samej linii, przy mostku, znajdował się sklep piekarniczy pana Adamczewskiego, a w nim pyszne bułeczki, zwane gryzkami, których smak pamiętam do dziś. To był tak zwany rządek bułeczek po 5 sztuk. Kosztowały one 5 groszy czyli po 1 groszu za sztukę.

Po drugiej stronie znajduje się drewniana figura św. Jana Nepomucena, istniejąca ponad 200 lat, obecnie poddana bardzo trudnej konserwacji. Święty przedstawiony jest jako kanonik w birecie na głowie, w czarnej sutannie, białej komży obszytej koronką i krótkiej pelerynce z gronostajowego futra zwanej rokieta. W rękę trzyma krzyż odpustowy na godzinę śmierci, na który skierowane jest Jego spojrzenie, oraz palmę – symbol męczeństwa. Głowę świętego wieńczy aureola z pięcioma gwiazdami, gdyż według legendy, nad miejscem, w którym utonął Jan Nepomucen, pojawiła się dziwna jasność pochodząca od pięciu gwiazd.

Na ulicy Św. Jana mieszkali krawiec Konstanty Zimny i szewc Michał Stanisławski. Pozostali mieszkańcy zatrudnieni byli w fabryce lalek, na kolei, jak również dojeżdżali rowerami do Pluszowni w Kaliszu.

## ULICA PONIATOWSKIEGO

Na początku ulicy był kowal – pan Spisz, następnie sklep (spożywczy) rzeźniczy Piotrowskiego i sklep spożywczy Nowickiej. Pan Mańka prowadził restaurację, a pan Sobczak - sklep spożywczy. Urbański i Fibigier mieli w posiadaniu Młyn, który w czasie II wojny światowej należał do Jerysza.

## PARK

Most żeliwny z 1824 roku przerzucony jest nad cyplem wydłużonego stawu, będącego pozostałością fosy zamkowej z lat 50. XX wieku. Most posiadał żeliwne balustrady, kute w ozdobne nachodzące na siebie koła. Po zniszczeniu balustrady postanowiono zastąpić ją stalowymi poręczami. Dzięki staraniom władz samorządowych most odnowiono. Balustrady prowizoryczne rozebrano, a w ich miejsce zamontowa-

no identyczne - zrekonstruowane zgodnie z zachowaną dokumentacją fotograficzną - balustrady stalowe.

W parku był ciekawy drzewostan. Pamiętam, że przy moście rosły dwa tulipanowce, sąsiadujące z rosnącymi do tej pory sosnami wejmutkami. Z drugiej strony mostu znikły dwa platany zrośnięte ze sobą tuż przy korzeniu. Wszyscy nazywali je „Adam i Ewa”. Ze starości wypadły dwie topole, białodrzew, jodły i żywotniki. Drzewostan parkowy w 1976 roku składał się z około 2400 drzew. Najliczniej występują w nim: olcha czarna (24%), klon zwyczajny (6,5%) i jesion pospolity (7%). W części zachodniej rośnie około 70 sztuk modrzewia europejskiego, a w otoczeniu obejścia szkoły 100– i 120-letnie świerki pospolite.

## ZEGAR NA KOŚCIELE – 20 MAJA 1995 ROKU

Za czasów księdza kanonika proboszcza parafii Opatówek Tadeusza Sobczaka został zafundowany nam czasomierz, który dokładnie odmierza sekundy. Jego precyzja gwarantuje niedokładności czasowe mniejsze niż jedna sekunda na 100 lat.

Nawet najbardziej punktualni mieszkańcy Opatówka mogą zatem spokojnie regulować swoje zegarki. Nie muszą oni czekać na sygnał czasowy podawany przez radio o godzinie dwunastej. Godziny wybija 150-kilogramowy dzwon umieszczony z tyłu zegara, nazwany „Jan Paweł II”. Mechanizm zegara połączony jest z komputerem Apollo, ten zaś jest sterowany impulsem z zegara atomowego, przesyłanym satelitarne z Frankfurtu nad Menem. Urządzenie Apollo nie potrzebuje nadzoru. Jeśli nawet prąd zostanie wyłączony (co w Opatówku nie należy do rzadkości) i zegar stanie, to po włączeniu zasilania, urządzenie reguluje się automatycznie dzięki centralnemu impulsowi.

## CMENTARZ PARAFIALNY W OPATÓWKU

W końcu lat 30. XX wieku, dzięki staraniom proboszcza księdza Jerzego Bekiera i prefekta księdza Edmunda Perczaka, został uporządkowany cmentarz. W alejkach umieszczono tabliczki z nazwami, które przedstawia „Tygodnik Opatowski” i posadzono brakujące topole włoskie. Wcześniej drzewa te sadzono wzdłuż obecnej ulicy Piaskowej oraz wzdłuż głównej alei cmentarza. We wrześniu 1938 roku mieszkańcy gminy Opatówek, odpowiadając na apel księdza Edmunda Perczaka, zbierali pieniądze na budowę studni na cmentarzu. W okresie okupacji Niemcy zniszczyli niektóre mogiły, gdy powiększali teren cmentarza ewangelickiego w kierunku bramy wyjściowej. Następnie obszar ten zaorali i zasiali trawę.

Po wojnie cmentarz wrócił do dawnych rozmiarów a na wolnym miejscu zaczęto chować wyznawców kościoła rzymskokatolickiego. Prawdopodobnie właśnie wtedy powstała nowa alejka po prawej stronie od wejścia i zniknęło położone przy ogrodzeniu miejsce nie poświęcone.

Z upływem czasu zmieniał się wizerunek cmentarza. Przy alei głównej zachowały się do dziś tylko niektóre pomniki z kamienia. Najpiękniejsze z nich pochodzą z kaliskiego zakładu kamieniarskiego Gintera oraz z Opatowskich Zakładów Kuczamera i Stawickiego. Do dzisiejszego dnia zachowały się, choć nieliczne, rzeźby Pawła Krzyżanowskiego.

Niektóre z pomników liczą ponad 100 lat. Do jednych z najstarszych należą m. in. nagrobki Gillera, Stokowskiego, Jabłkowskiego, Ugniewskiego, Miluńskiego.

Na środku cmentarza stoi kaplica cmentarna z I połowy XIX wieku.

# Opatówek

Opatówek, dawna siedziba prymasów gnieźnieńskich oraz rezydencja namiestnika Królestwa Kongresowego księcia Józefa Zajączka, położony jest nad strumieniem zwanym Stawką, Cienią lub Pokrzywnicą, o dziesięć kilometrów od Kalisza.

Początki Opatówka giną w pomroce wieków. Starowolski zowie Opatówek w języku łacińskim „Opatovia”, Cellaryux „Opatowecia”, Opahtovech, Opathovek.

O istnieniu Opatówka już w XII stuleciu świadczy bulla papieża Innocentego II z roku 1136, wymieniająca pomiędzy wsiami archidiaconatu kaliskiego, należącymi do arcybiskupów gnieźnieńskich, i Opatówek. Drugą w porządku chronologicznym wzmiankę historyczną o Opatówku znajdujemy w „Kronice” Jana Długosza, który pisze, że w roku 1259 w pobliżu Opatówka w borach soleckich (wieś Szulec) Bolesław Pobożny stoczył zwycięską bitwę z Kazimierzem księciem sieradzkim, kujawskim i łęczyckim.

W roku 1305 spustoszyli Opatówek Litwini, a w roku 1311 Krzyżacy. W drugiej połowie XIV wieku Jarosław Bogoria–Skotnicki wyjednał dla Opatówka przywileje miejskie, wznosząc w nim około 1360 roku zamek, przeznaczony na rezydencję prymasów oraz kościół murowany pod wezwaniem św. Doroty. Około 1600 roku w miasteczku ufundowany został szpital.

W 1807 roku Napoleon I podarował generałowi Józefowi Zajączkowi olbrzymie dobra opatowskie. W dniu 3 grudnia 1815 roku cesarz Aleksander I mianował zaś generała Zajączka namiestnikiem Królestwa Polskiego. Trzy lata później uzyskał on ponadto tytuł księcia.

W roku 1824 z inicjatywy księcia namiestnika saski przemysłowiec Adolf Fiedler wybudował w Opatówku jedną z największych w Królestwie Polskim fabrykę sukna. W trzech piętrowych budynkach posiadała ona 3 maszyny parowe o sile ośmiu koni, 100 warsztatów sukienniczych ręcznych, 40 maszynowych oraz przędzalnię wełny o 10 maszynach i 1440 wrzecionach. Zatrudnionych w niej było 550 robotników, 5 majstrów i 8 podmajstrzych. Ogólna produkcja roczna wynosiła 35000 arszynów sukna cienkiego wartości 400000 rubli. Tygodniowa płaca robotnika dochodziła do 2 rubli 50 kopiejek.

W okresie II wojny światowej obiekty pofabryczne przeznaczono na magazyny wojskowe i oczyszczalnie sprzętu wojskowego. Po 1945 roku budynki fabryczne uległy powolnej dewastacji.

W latach 60. XX wieku rozebrano bielnię i farbiarnię. Ze względu na bezpieczeństwo podjęto decyzję o rozebraniu również 37-metrowego komina. W przyziemiu skrzydła wschodniego mieścił się magazyn nawozów sztucznych. Spółdzielnia Ogrodniczo–Pszczelarska z Kalisza prowadziła punkt skupu produktów rolnych. Parter skrzydła

wschodniego był użytkowany jako magazyn przez Jarocińską Fabrykę Mebli. Górne piętra budynku od strony północnej przeznaczone były na mieszkania komunalne, gdzie mieszkałam z rodziną przez 7 lat. Ogrzewane żelaznymi piecykami, stanowiły realne zagrożenie pożarem.

I tak się stało... 8 grudnia 1969 roku wybuchł pożar, w którym część północna budynku spłonęła. Pod koniec lat 70. XX stulecia grono specjalistów orzekło, iż ten unikalny w skali Europy budowlany kompleks przemysłowy z początku XIX wieku powinien zostać odrestaurowany. Dla jego ratowania w dniu 2 stycznia 1981 roku powołane zostało Muzeum Historii Przemysłu, którego głównym zadaniem jest dokumentowanie historii Kaliskiego Ośrodka Przemysłowego. Remont trwał 10 lat. W jego wyniku fabryka odzyskała klasycystyczną formę. Wnętrza zachowały unikalną drewnianą konstrukcję i żeliwną klatkę schodową. Obiekt przeznaczony na cele muzealne to skrzydło wschodnie i część północnego o kubaturze 16532 m<sup>3</sup>. Powierzchnie ekspozycyjne na pięciu kondygnacjach wynoszą prawie 2000 m<sup>2</sup>.

W tamtych latach istniały jeszcze: oficyna dworska z 1825 roku, dworek administratora, koszarzy z okresu napoleońskiego, most żeliwny w parku z 1824 roku, domek neogotycki z herbem Zajączka przy kościele parafialnym, przeznaczony na cukiernię, a wzorowany na szpitalu w Hiszpanii, w którym ksiądz się leczył.

Generał Józef Zajączek zmarł 28 lipca 1826 roku w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie, skąd (zgodnie z wolą zmarłego) po uroczystym nabożeństwie w kościele Świętego Krzyża zabalsamowane zwłoki zostały 5 sierpnia 1826 roku przewiezione w kondukcie żałobnym z wszelkimi honorami państwowymi do miasta Opatówek. Po odprawieniu nabożeństwa przez biskupa Józefa Koźmiana, ciało w przygotowanym jeszcze za życia gen. Zajączka grobie w tutejszym kościele parafialnym zostało o godzinie 14 złożone w podziemiach kaplicy św. Anny.

Na metalowej tablicy umieszczono napis następującej treści:

*Józef z Wrzący Xiążę  
Zajączek  
Zajączek Józef generał Polski Namiestnik  
Królestwa Polskiego ur. 1752 r. na Ukrainie w Kamieńcu Podolskim*

Taryfa domów i ludności województwa kaliskiego wykazuje w roku 1789 w Opatówku domów i chatek mieszczkańskich 54, a plebańskich 8. Ludność wyłącznie chrześcijańska składała się z handlujących 48 mężczyzn, 49 kobiet, 2 rzemieślników, 2 dworskich, z komornika wójtowego 1, z wyrobników 10, wyrobnic 17, żebraków 2, żebraczek 3, wliczając zaś ludność plebańską, mianowicie mężczyzn 15, kobiet 23, ogólna ilość mieszkańców Opatówka w roku 1789 wynosiła: mężczyzn 146, kobiet 173, ogółem 319 osób. Dochód z całego klucza opatowskiego w tymże roku 1789 według obliczenia lustratorów w celu ustanowienia ofiary dziesiątego grosza wynosił z probostwa 1308 złotych polskich rocznie. Proboszcz zaś subsydium charitativum opłacał w ilości 109 złotych polskich. Średni dochód wszystkich mieszczan obliczono z trzech lat poprzednich na złotych polskich 915 groszy 13. Ofiara zatem dziesiątego grosza wyniosła 91 złotych polskich 16 groszy i 5 denarów.

W latach 1828 bawił w Opatówku poeta Julian Ursyn Niemcewicz, będąc gościem męża bratanicy księcia Zajączka, Józefa Radoszewskiego, który odziedziczył po generale majątek opatowski. Takie w pamiętnikach swych skreślił wspomnienie: „z miejsca, położonego w piaszczystej i nieprzyjemnej krainie, uczynili dzisiejsi właściciele okolicę najprzyjemniejszą. Dom (oficyna wzniesiona przez Radoszewskiego) nie

obszerny, lecz pięknej architektury, ozdoby i sprzęty w nim dostatnie, najlepszego smaku, pyszne zabudowania gospodarcze, ogród założony najgustowniej, piękne wód krysztály, pienne spadły, łąki okryte bydłem tyrolskim, szerokie smugi samymi tylko odziane różami, kościół gotycki, nie wieś jak przedtem lecz porządne miasteczko, z rzemieślniczych domów złożone, skazują wszędy ruch czynny i życie, miłym Opatówką czynią pobytem”.

W ziemi opatóweckiej rodziły się i mieszkaly najznakomitsze postacie. W roku 1831 w Opatówku przyszedł na świat najgłośniejszy w swym czasie dziennikarz i publicysta Agaton Giller, członek Rządu Narodowego w Powstaniu Styczniowym, którego dzieje skreślił w kilkutomowym dziele oraz licznych wspomnieniach. Zmarł w roku 1887 w Stanisławowie w Galicji. W roku 1834 przyszedł na świat brat rodzony Agatona, Stefan January Giller, profesor szkół kaliskich, znany zaszczytnie w literaturze ojczyźnej pod pseudonimem „Stefan z Opatówka”, autor najpiękniejszych i licznych w tym czasie poematów, elegii i sonetów. Siewca ziarna, które bujny plon wydało. Kolega szkolny Adama Asnyka. Zmarł w Opatówku i został pochowany w rodzinnym grobowcu na miejscowym cmentarzu.

Agaton i Stefan Gillerowie byli szanowani i doceniani przez współczesnych. Ich pogrzeby stały się patriotycznymi manifestacjami. Na pomniku Agatona widnieje następujące epitafium, którego autorem był Teofil Lenartowicz.

*Przechodniu, abyś w Polskę jak ten zmarły wierzył,  
Idź i czyn! Dobry przykład serce twe ośmieli,  
Twój brat wygnaniec, drogi sybirskie przemierzył,  
Prześladowanie długo cierpiał w cytadeli.  
A przecież dobre serce w wichrach nie ochłodziło,  
Ani je południowe żary nie wypiekły,  
Podziwiał nieprzebrane, cudowne to źródło,  
Z którego myśli wyniosłe i lzy czyste ciekły!  
A jeśli już w Polskę zwątpiłeś bez końca,  
Odejź! I cieniem swoim nie zasłaniaj słońca!*

W okresie Powstania Styczniowego Opatówek zajmuje oddział powstańczy Oksińskiego i rozbija w mieście rosyjski pododdział wywiadowczy. W 1869 roku miasteczko zamienione zostaje na osadę. Przed I wojną światową powstaje w Opatówku największa w kraju fabryka lalek i zabawek drewnianych rodziny Pinczewskich.

W dniu 15 maja 1903 roku zmarł nagle ksiądz Paweł Patocki, proboszcz parafii pod wezwaniem św. Doroty w Opatówku. Parafię objął ksiądz dr Adam Marczewski. On to rozebrał mały kościółek i zaczął budować obszerny. Budowa rozpoczęła się w 1906 roku, a w grudniu 1909 roku odbyło się poświęcenie nowej świątyni, która wzniesiona została w stylu gotyku bałtyckiego z domieszką motywów romańskich, według projektu Konstantego Wojciechowskiego. Parafianie czynnie wspierali swojego proboszcza, pracując przy budowie i fundując niektóre elementy budowli, jej wystroju, a nawet ogrodzenia.

Ołtarz i ambonę ufundowali: właściciel fabryki sukna ewangelik Ferdynand Nitsche i jego żona Marianna, witraże - ksiądz Adam Marczewski, bractwa kościelne i parafialne. Uroczysta konsekracja z udziałem biskupa Stanisława Zdzitowieckiego odbyła się w 1912 roku. Wnętrze kościoła jest obszerne, trzynawowe. Drewniany, bogato zdobiony ołtarz w prezbiterium ma charakter neogotycki, a wykonany został przez poznańskiego snycerza Nowakowskiego około 1912 roku. W centralnej części ołtarza,

przypominającej kształtem zabytkową monstrancję, nad tabernakulum znajduje się postać Pana Jezusa z wizerunkiem Najświętszego Serca. Nad nim umieszczona jest figura Matki Boskiej. Po obu stronach Pana Jezusa znajdują się postaci patronów Polski: z lewej św. Stanisław (z mieczem, ponieważ zginął od tej broni) z prawej św. Wojciech (z tekstem Bogurodzicy i pastorałem). W czasie uroczystości św. Doroty (6 lutego) postać Chrystusa jest zasłaniania obrazem św. Doroty, która była patronką poprzedniego kościoła w Opatówku.

Ksiądz dr Adam Marczewski był cenionym duszpasterzem i odnosił się z wielkim szacunkiem do ludzi nauki i kultury. Przyjaźnił się z poetą Stefanem Gillerem, który po przejściu na emeryturę i utracie najbliższych, powrócił do Opatówka i zamieszkał w rodzinnym domu przy Placu Wolności.

18 czerwca 1919 roku miała miejsce wizyta nuncjusza papieskiego w Polsce, Achille Rattiego, który wkrótce został wybrany papieżem jako Pius XI. Był on kolegą księdza Marczewskiego z lat studiów w Rzymie. Przyjechał, by poświęcić odbudowany po zniszczeniach wojennych kościół poreformacki w Kaliszu. W przeddzień uroczystości zatrzymał się w Opatówku, witany przez księdza Adama Marczewskiego, przedstawiciela gminy żydowskiej i licznie zebranych mieszkańców Opatówka.

Ksiądz dr Adam Marczewski zmarł 29 kwietnia 1931 roku. W ostatniej drodze w dniu 4 maja 1931 roku towarzyszyło Mu 50 księży, tłumy parafian oraz mieszkańcy Kalisza i innych miast. W czasie ceremonii pogrzebowej złożono śmiertelne szczątki księdza prałata dr Adama Marczewskiego w podziemiach kościoła pod kaplicą św. Anny, obok zwłok księcia Józefa Zajączka.

Pocytujemy sobie za zaszczyt, że w podziemiach naszego kościoła spoczywają szczątki tak wielkich i zacnych ludzi jak ksiązę Józef Zajączek, generał i namiestnik Królestwa Polskiego oraz ksiądz dr Adam Marczewski – ceniony duszpasterz i budowniczy naszej świątyni.

Były jednak pogłoski, że obok kościoła straszy...

Pewnego dnia do domu moich rodziców przyszedł pan Podkowski, który wówczas był stróżem pilnującym kościoła. Opowiadał, że pewnej nocy była taka cisza, że słyszał, jak brzęczał komar.

Nagle drzwi od kaplicy świętej Anny otworzyły się z takim hukiem, że aż podskoczył. Ale co to? Oczom jego ukazały się dwa olbrzymie psy i zaczęły ujadać i tak się gryźć, że aż posypały się iskry.

On stał jak posąg. Nigdy jeszcze nie spotkał się bowiem z takim zjawiskiem. Trwało to przez kilka chwil, po czym wszystko zniknęło i znów nastała cisza. Po zastanowieniu przyszła mu do głowy taka myśl: może to ostrzeżenie, że ksiądz Adam Marczewski nie jest zbyt zadowolony z takiej bliskości z księciem Józefem Zajączkiem? Może...

Od tamtej pory minęło wiele lat i nikt się nie skarży, aby cokolwiek zakłócało spokój mieszkańcom i przechodniom spacerującym wokół naszej świątyni.

## Ciekawostki z roku 1937/38

Pan Premier Sławoj Składkowski w dniu 13 czerwca 1937 roku w Liskowie udekorował srebrnym krzyżem zasługi właściciela dóbr Opatówek pana Konrada Wünschego oraz wójta Gminy Opatówek pana Raszewskiego – brązowym krzyżem zasługi.

### PAN MARSZAŁEK W OPATÓWKU

W niedzielę o godz. 6.30 w powrotnej drodze z Liskowa Pan Marszałek Rydz-Śmigły był owacyjnie żegnany na dworcu naszym przez ludność miejscową 11 lipca 1937 roku.

Jego Ekscelencja, Ks. Biskup Karol Radoński w dniu 7 listopada 1937 roku dokonał konsekracji dzwonu, wykonanego przez firmę A. Białkowski z Poznania. Fundatorem dzwonu jest pan Antoni Marszał z Trojanowa. Odbyło się też poświęcenie Stacji Drogi Krzyżowej, ufundowanych przez panią Rozalię Witkowską z Opatówka.

Z dniem 1 czerwca 1938 roku miasto nasze otrzymało stałe oświetlenie z Elektrowni Kaliskiej, przez co zyskał Opatówek na estetycznym wyglądzie.

### PRZEJAZD ZWŁOK ŚW. ANDRZEJA BOBOLI PRZEZ OPATÓWEK

W dniu 17 czerwca 1938 roku przez Opatówek zostały przewiezione koleją do Warszawy relikwie św. Andrzeja Boboli.

Celem złożenia należytego hołdu Pierwszemu Patronowi Odrodzonej polski, z miejscowego kościoła ruszyła procesja, prowadzona przez ks. prefekta Perczaka, na stację kolejową, która tegoż dnia była ładnie, gustownie udekorowana, dzięki pracy naszych pań, członkiń Akcji Katolickiej.

### DZIEŃ DZIECKA W OPATÓWKU 1 CZERWCA 1937 ROKU.

Z racji ogólnopolskiego dnia dziecka w Opatówku w ramach na jakie nas stać było, urządziliśmy dzień dziecka. Staraniem Caritasu urządzona została wycieczka do lasu, gdzie gromada dzieci z matkami spożyła śniadanie. Przybył też ks. proboszcz przynosząc ze sobą słodycze, którymi obdzielił dzieci. Śniadanie przygotowały panie: Śniegułowa i Kolasińska.

# Organizacje w Opatówku do 1939 roku

1. Akcja Katolicka
2. Czerwony krzyż
3. Harcerstwo Żeńskie i Męskie
4. Krucjata
5. Narodowa Organizacja Kobiet
6. Narodowcy
7. P.O.W.
8. Rezerwa Wojskowa
9. Rzemieślnicy
10. Straż Pożarna
11. Strzelec
12. Sokół
13. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej i Męskiej
14. Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego

## Rzemieślnicy

### KRAWCY

1. Bagdziński Stanisław
2. Dziedzic Stefan
3. Welcer Józef
4. Welcer Franciszek
5. Zimny Konstanty
6. Zimny Wojciech
7. Żulicka Cecylia

### POLICJANCI

1. Kraszkiewicz
2. Ludwiczak

### AKUSZERKI

1. Markiewicz Józefa
2. Kłonicowa

### SZEWCY

1. Cichy
2. Gabryjelski
3. Gawroński
4. Kwiatkowski
5. Mielczarek
6. Stanisławski Michał
7. Sroczyński Stefan

### FRYZJERZY

1. Brodziak Władysław
2. Keler Hieronim
3. Marcinkowski Kazimierz
4. Strycharski Henryk



## Harcerki z Opatówka do 1939 roku

1. Adamczewska Wacława–Domagalska
2. Adamusiak Janina–Barańska
3. Aleksandrzak Zofia–Gross
4. Banasiak Jadwiga–Glapa
5. Cicha Józefa–Solnica
6. Cichecka Helena–Kaszuba
7. Fibiger Helena–Żabińska
8. Janiak Władysława–Cieślak
9. Keler Krystyna–Kwinta
10. Kiermasz Irena
11. Kujawa Stefania–Salamon
12. Kwaśniewska Helena–Kwaśniewska
13. Mielczarek Helena–Gabinowska
14. Orłowska Maria–Jamrozińska
15. Piotrowska Stanisława–Jędrusiak
16. Stępniewska Mila–Płonka
17. Stępniewska Irena–Kostyrko
18. Wolf Stefania–Radaś
19. Wróblewska Lucyna–Żulicka
20. Żulicka Irena
21. Pawłaczyk Zofia

## Komunikacja Opatówek - Kalisz przed rokiem 1939

Jedyny autobus relacji Łódź – Kalisz przejeżdżał przez Opatówek tylko rano i wracał wieczorem. Ale kto mógł sobie pozwolić na taki luksus? Zatem najpewniejszą i najprostszą komunikacją były zdrowe nogi i wygodne buty. Ludzie, którzy pracowali w Kaliszu: w Pluszowni, w fabryce fortepianów, w jakimś warsztacie, czy sklepie, chodzili z Opatówka do Kalisza przeważnie pieszo, kto zaś posiadał rower, ten jeździł rowerem.

Pamiętam Romana Żulickiego, który przez 17 lat, czy to było lato, czy zima, deszcz, czy słońce, jeździł rowerem do fabryki Millera. Tak samo pan Stanisław Augustyniak, pan Rezler, pamiętam jeszcze panią Mariannę Banaszkiewicz, która z małą walizeczką, dzień w dzień przechodziła obok naszego domu. I wiele innych osób, które skracaly tam sobie drogę. Od naszego domu droga prowadziła obok cmentarza do lasu, potem były tory kolejowe, następnie znów las i wychodziło się w Poduchowni – Zduny.

Moja najstarsza siostra Broncia także pokonywała tę trasę. Otrzymała pracę w Kaliszu, mianowicie u pewnej Żydówki, która miała stoisko w wielkiej hali, tam gdzie obecnie znajduje się również duży sklep „Tęcza” PSS Społem.

Praca polegała na tym, że właścicielka wydawała jej pokrojone duże chusty do nakrycia w różnych kolorach i do tego odpowiednie nici, a siostra wiązała do nich frędzle. Po wykończeniu, gotowe chusty odnosiła do właścicielki, za co otrzymywała zapłatę i pobierała następne do wiązania.

W Kaliszu odbywały się tak zwane targi tygodniowe; dwa razy, we wtorek i piątek. Gospodarze z Opatówka i pobliskich wiosek: Cieni, Michałowa, Trojanowa, Szulca i Tłokini jechali furmankami, wioząc na sprzedaż: sery, masło, jajka, owoce. Wiele kobiet szło piechotą, jedne aby zrobić zakupy na targu, inne w koszykach niosły coś do sprzedania.

Jeśli gospodarz był dobry, uczciwy, to zabrał na wóz kobiecinę albo i dwie. Ale był i taki, co to z bata strzelił i konie przebiegły niczym wiatr, a on udawał, że nikogo nie zauważył. Cóż było robić? Szły dalej, przywykły bowiem do takich zachowań.

Jeśli zaś chodziło o młodzież, która ukończyła szkołę w Opatówku i pragnęła się dalej kształcić, rodzice w miarę możliwości starali się, aby ich posyłać po dalszą wiedzę. W związku z kłopotem z dojazdem, wynajęli wspólnie pana Albina Rogozińskiego, który wozem konnym z umieszczonymi na nim siedzeniami odwoził ich codziennie do kaliskich szkół. Także piekarz, pan Stefan Adamczewski, gdy wysadził chleb z pieca, wsiadał w swoją resorkę i również odwoził uczniów.

W Opatówku natomiast była Szkoła Ochroniarska – czyli szkoła żeńska dla przed-szkołanek. W karnawale dziewczęta zapraszały VII i VIII klasy Gimnazjum Huma-nistycznego Asnyka na zabawę, co było już tradycją. Aby się dostać do Opatówka, gimnazjaliści wynajmowali drabiniasty wóz konny od pana Schössera, właściciela majątku w Opatówku. Chociaż środek lokomocji był skromny, za to oni wyglądali pięknie w swych galowych mundurach: spodnie zdobione na wzór oficerski z lampa-sami bordo (szasery) z podwójnymi sprzączkami, na które zapinało się gumki opasu-jące buciki ze złotym sznurkiem i metalowym znaczkiem w kształcie tarczy, na której z kolei znajdowały się trzy duże litery „GHA” (Gimnazjum Humanistyczne Asnyka), polski orzeł i dwie gałązki laurowe na bokach. Ochroniarki to były piękne dziewczęta, ale strój miały skromny: bluzeczki białe z kołnierzem marynarskim, z przodu kokarda koloru granatowego, spódnice do kolan, granatowe, plisowane, pończochy popielate (tak zwane fildekosy). To jednak nie stanowiło przeszkody, aby Ochroniarki z Opa-tówka i Asnykowcy z Kalisza nie mieli się przyjaźnić.

Kalisz i Opatówek łączyły stałe więzy. Pamiętam już z lat dzieciennych, jak bardzo byliśmy i jesteśmy związani ze świętym Józefem Kaliskim. Z Opatówka chodziły pie-sze pielgrzymki na odpusty na 19 marca, czy na opiekę św. Józefa, w których również uczestniczyłam jako mała dziewczynka. Pamiętam tłumy ludzi, które gromadziły się na placu przed kościołem, tak że do środka trudno było się dostać. Nasza grupa rów-nież modliła się na dworze, ale czekaliśmy do końca, aby chociaż na chwilę wejść do kaplicy i pokłonić się świętemu Józefowi i całej świętej Rodzinie.

Kochamy ten obraz, jest on taki bliski naszemu sercu. W „Tygodniku Opatowskim” z dnia 20 marca 1938 roku napisano: „Cudowny Obraz św. Józefa pochodzi z Szulca, a Szulec jest blisko Opatówka”. W aktach kościoła nie ma na to dowodu, gdyż one uległy pożarowi. Jedynym źródłem wiadomości jest podawana z ust do ust tradycja. Zebrał ją i spisał czciciel świętego Józefa, ksiądz prałat kapituły kaliskiej Stanisław Kłosowski, na podstawie tego co od najstarszych słyszał, głównie zaś z ust bogoboj-nego starca księdza kanonika Józefa Świtalskiego, zmarłego w 1758 roku. Ksiądz Kło-sowski wydał w 1788 roku w Kaliszu dzieło pod tytułem „Cuda i łaski za przyczyną mniemanego Ojca Jezusowego św. Józefa”. W publikacji tej, liczącej blisko 700 stron, przytacza on drobiazgowo dzieje obrazu, prawie 600 cudownych uzdrowień i łask za przyczyną świętego Józefa udzielonych, historię koronacji obrazu, opis obchodu koronacyjnego, proces Kurii Rzymskiej dotyczący uznania cudowności obrazu. Z jego łaski hojnie czerpali dotychczasowi pisarze.

*We wsi Szulec do klucza prymasowskiego w Opatówku (dobrach arcybiskupów gnieźnieńskich pod Kaliszem) należącej, był pewien człowiek bardzo długo choru-jący, jako paraliżem rażony. Ruszyć się o swej mocy bynajmniej nie mogący. Gdy tak długa choroba jemu i domownikom uciążliwa się uprzykrzyła, prosił Boga już o życia zakończenie. Aż następnej nocy przyszła do niego jakaś sędziwa osoba (którą on sądzić był św. Józefem) i spojrzawszy na niego, rzekła: „Każ namalować obraz św., w którym na prawej stronie niech będzie Najświętsza Maria, na lewej naj-czystszy jej oblubieniec, św. Józef, między nimi Dziecina Jezus, od Obojga za rączki prowadzony. Nad Nimi Duch Przenajświętszy w promieniach, a nad tymi wszystki-mi Bóg Ojciec rozszerzone ręce mający, z napisem z ust Jego wychodzącym: Idźcie do Józefa. Oddaj ten obraz do kolegiaty kaliskiej, a zupełnie zdrow zostaniesz.” To powiedziaławszy, zniknęła z oczu Osoba, a chory z wielką ufnością i ochotą, sprowa-dzonemu do siebie malarzowi wszystko opowiedziawszy czemprowadz według roz-kazu Osoby, kazał malować obraz św. Józefa, który, jako tylko poświęcony w domu swoim zobaczył i pocałował, zaraz w tym punkcie z podziwem wszystkich zupełnie tak został uzdrowiony, jak gdyby nigdy nie chorował. Ten obraz i ołtarz dla niego na filarze po lewej stronie, gdzie był stary św. Apostołów, wystawił.*

Kiedy to się stało, ksiądz Kłosowski nie podaje, ale że w książce swej wymienia cuda od 1673 roku, świadczyłoby, że już przed tym czasem obraz świętego Józefa znajdował się w kolegiacie, a więc prawdopodobnie na przełomie XVI i XVII wieku. Ksiądz Kłosowski podaje dalej, że największej ilości cudów doznano w czasie powszechnego jubileuszu, ogłoszonego przez papieża Benedykta XIV na rok 1751. Rozsławiło to imię świętego Józefa po całym kraju, a zarazem spowodowało to, że arcybiskup gnieźnieński Władysław Łubieński w 1764 roku polecił kapitule kaliskiej odprawianie przed tym ołtarzem uroczystych nabożeństw. Żarliwy czciciel świętego Józefa, ksiądz prałat Kłosowski, wystąpił do tegoż arcybiskupa z prośbą o delegowanie do Kalisza komisji celem sprawdzenia cudów. Na skutek zbadania pod przysięgą 70 świadków i orzeczenia Sądu Prymasowskiego, arcybiskup Łubieński 8 czerwca 1767 roku wydał dekret uznający obraz świętego Józefa za „laskami słynący” – „I nago grotiosa”.

Nasza świątynia w Opatówku posiada także obraz świętego Józefa. Mamy ponadto figurę tego świętego, z którą związana jest bardzo ciekawa historia...

Otóż, w czasie niemieckiej okupacji, kiedy hitlerowcy niszczyli wszystkie przydrożne figury, dowiedzieli się, że figura świętego Józefa z ulicy Poniatowskiego znajduje się na cmentarzu w Opatówku.

Żandarmi przyjechali więc samochodem przed cmentarz. Było ich czterech. Szli prosto w kierunku, gdzie znajdowała się figura (a stała ona na ziemi za kaplicą cmentarną po prawej stronie, obok grobu p. Turczynowiczów).

Byłam wówczas na cmentarzu z koleżanką Marysią Stanisławską-Koc i siostrzenicą małą Jadzią Tomaszewską, która zawsze stroiła tę figurę kwiatkami. Mieszkaliśmy bowiem obok cmentarza i niemal każdego dnia chodziliśmy tam, aby podlewać kwiatki na grobach, a następnie szliśmy do figury świętego Józefa z Dzieciątkiem.

Tamtego dnia widzieliśmy, jak dwóch żandarmów podeszło do figury, chcąc ją zabrać, jednak ona nawet nie drgnęła. Wówczas podeszło pozostałych dwóch żandarmów – ale i oni nie dali rady podnieść świętego Józefa.

Żandarmi zaczęli się złościć i krzyczeć. My uciekłyśmy do alejki. Żandarmów widocznie obleciał strach, bowiem po chwili ucichli i wyszli z cmentarza, wsiedli do samochodu i odjechali. Święty Józef pozostał na swoim miejscu...

Po powrocie do domu opowiedziałam, co zaszło na cmentarzu. Mój tato bardzo się zdziwił, mówiąc, że tę figurę przywiózł na wózku jeden człowiek. Jakże zatem czterech żandarmów nie mogło dać jej rady? Święty Józef nie pozwolił się po prostu zabrać okrutnym oprawcom.

Poszłyśmy więc ponownie na cmentarz, aby przekonać się, czy nam św. Józef pozwoli się poruszyć. I oczywiście, figura drgnęła bez żadnego oporu...

Figura świętego Józefa przetrwała na cmentarzu całą wojnę. Następnie wróciła na swój cokół, znajdujący się przy ulicy Poniatowskiego.

WOJNA

Wrzesień zawsze będzie mi kojarzył się z wybuchem wojny – datą pierwszego września 1939 roku. Pamiętam jak dziś: moi starsi bracia – Stasiu i Kostek, przygotowania do pójścia do szkoły, książki i zeszyty w tornistrach. Tak bardzo im zazdrościłam, że ja nie zostałam przyjęta z powodu nie ukończonych jeszcze siedmiu lat. Nagle wpada sąsiad, pan Stanisław Augustyniak i głośno krzyczy: „Wojna! Niemcy napadli na Polskę!”

Radio u Świtnickich było wystawione w oknie. Ludzie gromadzą się wokół niego i słuchają (w Opatówku były wówczas trzy odbiorniki radiowe). Świtnicy mieszkają w rynku. Słuchające kobiety płaczą w głos. W radiu mówią o mobilizacji. Nie wiem, co to znaczy, ale tak mówią.

Mężczyźni szykują się do obrony Ojczyzny. Tato nasz też ubiera się w pośpiechu, mama szykuje mu coś na drogę i już jest gotów, aby wyruszyć z innymi. Poszedł, a ja nie mogłam nawet łzy uронić, zaniemówiłam i stałam jak słup soli, patrząc na zapłakaną mamę, siostry i braci. Dopiero po pewnym czasie ocknąłam się i z moich oczu popłynęło morze łez. Tato wkrótce wrócił, gdyż – jak mówił – nigdzie nie było punktu zbornego. Tam, gdzie kazano im iść, zastawali tylko Niemców, strzelających do każdego zgrupowania. I ci, którzy poszli dalej, już nie wrócili, bo poginęli.

W bardzo szybkim tempie, najpierw na motorach, potem samochodami i piechotą, pojawiali się żołnierze niemieccy. Wszędzie było ich pełno. Obok kościoła rosną drzewa modrzewiowe (zwane potocznie: modrodrzew). W tym właśnie modrodrzewiu rozłożyło się mnóstwo niemieckiego wojska.

Poszliśmy sporą gromadką ich zobaczyć. Ja zabrałam ze sobą młodszego brata Piotrusia. Miał cztery lata, był ślicznym chłopcem o czarnych oczach. Ubrany był w taki fartuszek (krzyżaczek) z kieszonką i do tej kieszonki niemiecki żołnierz chciał mu włożyć czekoladę. Piotruś bardzo bronił się i uciekał, ponieważ mama zakazała nam brać cokolwiek od Niemców, mówiąc, że może to być zatrute. Żołnierz się domyślił naszych obaw, odłamał kawałek czekolady i zjadł. Wtedy mój braciszek przyjął czekoladę z zadowoleniem. Kiedy zaś wróciliśmy do domu, to powtarzał tak bardzo śmiesznie: „Mama, nie atlute, nie atlute”.

Tato tę przygodę tłumaczył w ten sposób, że mówił, iż w każdym narodzie są ludzie dobrzy źli. „Kto wie, może ten żołnierz też ma swoje dzieci, które pozostawił i w Piotrusiu zobaczył swojego synka. Dlatego oddał mu swoją czekoladę.”

Wrzesień był miesiącem wręcz upalnym. Tyle było owoców w sadach, że ludzie dźwigali je całymi koszami. Najwięcej zaś od dziedzica, bo nikt tam nie pilnował i można było i zbierać i zrywać.

Dziedzic, właściciel ogromnego majątku, nazywał się Wünsche. Był Niemcem, ale czuł się Polakiem i służył w polskiej armii. Miał u siebie polską czapkę z orzełkiem. Kiedy niemieccy żołnierze dostali się do pałacu i zobaczyli tę czapkę, to – jak twierdził naoczny świadek – z wściekłością kopali ją i rzucali nią o ziemię. Dziedzica w tym czasie nie było w majątku. Ukrywał się przed Niemcami (w Kozianowie) Tłokini Nowej u państwa Raszewskich (pan Raszewski był weterynarzem). Wkrótce jednak dziedzic wrócił do siebie wraz z żoną i trójką dzieci: Elżbietą, Ryszardem i Krzysztofem. Pani dziedziczka po powrocie zastała w pałacu pustki, toteż postanowiła z zaufanym człowiekiem, swoim ogrodnikiem (nazywał się Cierpke) odwiedzić niektóre domy, aby odzyskać swoje mienie.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Byliśmy akurat z tatą na podwórku, kiedy oni pojawili się. Tato zdjął czapkę i powiedział: - „Dzień dobry, pani dziedziczko. Czy pani do nas wejdzie?” – A ona na to: - „A po co?” - Tato na to powiedział: - „No, prócz jabłek, które są na strychu, nie ma u nas nic.” – „Ja to wiem, ja to wiem” – padła odpowiedź i poszli dalej. Są to dla mnie bardzo miłe wspomnienia.

Mijały dni i tygodnie, działo się coraz gorzej. Zaczęło brakować chleba, cukru, naf-ty, soli. Szybko nadeszła zima. Mamusia dowiedziała się, że w Kaliszu można kupić kilogram soli i pół litra octu. Wysłano mnie po ten zakup. Poszłam wraz z koleżanką, Marysią Stanisławską–Koc pieszo, a to jest 10 kilometrów drogi. Sklep znajdował się przy ulicy Warszawskiej. Kolejka była dość długa, ale ucieszyłyśmy się, że nam sprzedano. Zrobiło się ciemno, gdy dotarliśmy do więzienia. Tam spotkałyśmy dwie panie: Sabinę Stolarczyk i jej ciocię, które - tak jak my - wracały z zakupami. One to zachęcały nas, abyśmy zatrzymały jakiś niemiecki samochód i mówiły: - „Na pewno dzieciom nie odmówią”. Miałymy ukończone obie po siedem lat i nie trzeba nam było dwa razy powtarzać. Okazja nadarzyła się wkrótce, bo jechał wojskowy samochód. My natychmiast podniosłyśmy rękę w górę. Udało się za czwartym razem. Rodzice powitali nas z radością, bo już bardzo się niepokoiłi i robili sobie wyrzuty, że to zima i dzień krótki, a oni wysłali dzieci tak daleko. Czekali na nas na drodze. Wyprawa nasza udała się, bo sól i ocet przyniosłyśmy.

Jeżeli chodzi o chleb, to jego pozyskanie składało się na cały proces: kupowało się ziarno, moczyło się je i potem mieliło w maszynce do mięsa. Następnie mama cichaczem piekla w dużym piecu chleb. Bochenki były ciemne, mokre i ciężkie. Dopiero po długim czasie, kiedy szwagier przebywający na przymusowych robotach w Berlinie przysłał nam młynek rozebrany na części w dwóch paczkach i można było mieć na sucho ziarno, dopiero wtedy chleb był wspaniały. To nie że czarny. Była tylko jedna wada: bardzo głośno było słycać mielenie i dlatego został (po namyśle) skonstruowany wiatrak, który przymocowano do płotu. Teraz, gdy wiał silny wiatr, dwaj bracia: Stasiu i Kostek kręcili w młynku ziarno na mąkę. Wiatrak głośno warczał i trudno było się zorientować, co to tak hałasuje. Całą tę pracę wykonywano w drwalniku. Ja stałam na posterunku i uważałam, czy żandarmi nie jadą. Obok nas prowadziła droga, którą przejeżdżali Niemcy udający się do Tłokini Wielkiej czy Nowej. Pewnego razu, gdy pilnowałam i było bardzo zimno, poszłam na chwilę do domu, aby założyć coś ciepłego. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że żandarm zatrzymał się za potrzebą przy drwalniku. Ja zamarłam ze strachu, bo gdyby tak zobaczył, co się tam dzieje, to czekałoby nas więzienie. Uratował nas wiatrak!

Chleb był, ale do niego była tylko margaryna i marmolada z buraków na kartki. Na kartki było zresztą wszystko: od chleba do ubrań, butów, a nawet ziemniaków i węgla na zimę. Ja to wszystko wykupywałam, gdyż mama wówczas chorowała, a starsza siostra, osiemnastoletnia Stefcia, była wywieziona do Niemiec. Trochę młodsza siostra Hania, pracowała (po wszelkich tarapatach) w magazynach wojskowych w Opatówku. Zanim doszło do tego jej zatrudnienia, przeszliśmy dosłownie gehennę. Otóż, okupant, chcąc wywieźć kogoś na roboty do Niemiec urządzał tak zwane łapanki, które odbywały się nocą. I tak pewnej nocy żandarmi przyszli po Hanię. Nie było jej jednak w domu i tato im powiedział, że pracuje ona u Niemca (nazywał się on Wange) w Tłokini Wielkiej i nie wróciła na noc do domu, więc pewnie tam zanocowała. Zadowolili się tym i poszli dalej. Kiedy zabierali następną dziewczynę, dowiedzieli się od niej przypadkowo, że moja siostra już wróciła do domu. Niemcy wpadli w szal. Wrócili do naszego mieszkania, przystawili ojcu pistolet do głowy i nieludzko krzyczeli: - „Gdzie ona jest?” – Tato szybko zareagował: - „Pewnie poszła na siano, bo wczoraj był taki

deszcz i nie chciała nas budzić.” Mieliśmy letnią kuchenkę, a obok niej obórkę, gdzie trzymaliśmy kożę i króliki. Był tam też stryszek z pachnącym sianem. Tam właśnie spała siostra i brat Stasiu, który też ukrywał się przed Niemcami. Rodzice drżeli na myśl, co będzie, jak to się wyda, bo brat w ogóle nie był zarejestrowany i nie było dla niego żadnych kartek. Zupełnie tak, jakby nie istniał. Chyba wywieziono by nas za to do obozu, albo nawet rozstrzelano. Mama dlatego tak postąpiła z bratem, ponieważ był on bardzo wątlý, szczuplutki i mały. Myślała, że gdy go zabiorą, to on tam nie przeżyje ciężkiej pracy i głodu. Nasz strach był więc podwójny.

Hania, słysząc krzyki żandarmów, bardzo płakała i schodziła ze stryszku sama. Żandarm, jednak tam zajrzał. Podniósł kołdrę, ale odrzucił ją, nic nie mówiąc. Stasiu ze strachu tak się skulił, że pomimo swych czternastu lat, wyglądał może na siedem, osiem. Hania została zabrana tej nocy i wywieziona do Kalisza, aby czekać na pełny transport do Niemiec. Rano, po nieprzespanej nocy, oboje z tatą poszliśmy do Kalisza, oczywiście pieszo. Musieliśmy zanieść siostrze coś do jedzenia i ubrania, ponieważ żandarmi byli tak wściekli, że nie pozwolili jej nic zabrać i poszła tak, jak stała. Ludzie z łapanki byli zgromadzeni w wielkiej sali. Na podłodze leżała słoma. Była to stara octownia na ulicy Poznańskiej.

Tato jakimś sposobem dowiedział się, że nazajutrz ma przyjechać właściciel majątku w Radliczycach i wziąć pewną ilość ludzi do pracy. Tato wybrał się więc na drugi dzień ponownie do Kalisza i kiedy przyjechał ten pan, to bardzo go prosił, aby zabrał jego córkę do pracy. Tamtemu nie bardzo odpowiadała młoda dziewczyna do pracy w polu, ale widocznie miał dobre serce, bo uległ prośbom ojca. Ojciec wyprosił także zatrudnienie dla tamtej dziewczyny, przez którą tyle złego się stało i obydwie zostały przyjęte do pracy w polu w Radliczycach.

W krótkim czasie przeniesiono je do magazynów wojskowych w Opatówku, gdyż tam nie mogły podolać złeconej im ciężkiej pracy. Teraz pracowały przy plandekach, posypując je talkiem i układając po 10 sztuk w paczkach. W niedzielę też pracowały, bo odprowadzały na dworzec kolejowy rowery, które mężczyźni składali w warsztatach z części.

Ja natomiast robiłam zakupy, bawiłam młodsze rodzeństwo i opiekowałam się nim, a w miarę wolnych chwil, razem z koleżankami, szukałyśmy rozrywek. Grałyśmy w piłkę, bawiłyśmy się w chowanego. Pewnego razu, gdy bawiłyśmy się, przechodziły dwie niemieckie dziewczyny i demonstracyjnie zjadały czekoladę. Ślinka nam leciała na samą myśl, że i my chętnie byśmy popróbowowały, ale – skąd wziąć czekoladę? Któraś z koleżanek powiedziała, że gdy była chora, to mama dała jej na przeczyszczenie czekoladkę z apteki, która smakowała jak prawdziwa czekolada. Pomyślałyśmy, że może by tak pójść do apteki i kupić to, aby zaspokoić głód czekoladowy. Ale kto tam pójdzie? Padło na mnie, bo pani w aptece (nazywała się Zawadzka) mnie знаła. Zgodziłam się pod warunkiem, że pójdzie ze mną jeszcze jedna dziewczynka. Poszliśmy trochę z lękiem, aby zamiast czekoladek nie otrzymać syropku, ale wszystko poszło dobrze. Ja ze smutną miną poprosiłam o czekoladki na przeczyszczenie dla mego małego braciszka. Otrzymałyśmy je bez przeszkód. Wróciłyśmy prędko do pozostałych i odbyło się dzielenie. Ta czekoladka była miniaturowa, a nas było pięć koleżanek i trudno było o równy i sprawiedliwy podział, ale jakoś się udało. Jak nam bardzo smakowało! Rzeczywiście, to był smak prawdziwej czekolady, ale – tylko smak, bo tak tego było małutko, że nawet nas nie przeczyszcilo, bo nie było po czym.

Cóż, była wojna. Trudno było nam, dzieciom to zrozumieć, ale trzeba było. Mama ciągle nam powtarzała, gdy nie mogła nam czegoś dać: - „Dzieci, jest wojna. Jak wojna się skończy, to wszystko wam dam, obiecuję.” A na razie, gdy szłam po cukier,



to pozwalała mi kupić 100 lub 200 gram cukru w kostkach i to były nasze cukierki. Marzyłam wtedy, że gdy skończy się wojna i dorosnę, to zarobię prawdziwe pieniądze i kupię cały pokój cukierków.

Wojna wciąż trwała. Ludzi wywożono do Niemiec. Oprócz siostry zabrano dwóch szwagrów. Ich żony zostały, ponieważ miały małe dzieci. W 1940 roku do obozu w Oświęcimiu zabrano także mojego kuzyna Stanisława Zimnego - tylko za to, że był ładnie ubrany i jechał na koniu! Natomiast w październiku 1941 roku wywieziono do obozu w Dachau mojego ukochanego księdza Jana Wieczorka. Razem z nim wywieziono innych księży diecezji wrocławskiej i całą inteligencję. Był surowy zakaz czytania, a nawet samego tylko posiadania polskich książek.

Okrucieństwo było widać na każdym kroku. Kiedyś, gdy wracałam z zakupami, widziałam obok magazynów wojskowych, jak Niemiec bił Polaka. Najpierw go uderzył, a kiedy ten upadł, to kopał go buciorami. Nie mogłam patrzeć, bo łzy przesłaniały mi wszystko. Szybko oddaliłam się, gdyż ten wojskowy był bardzo wściekły. Nazywali go Kutik (według mnie to był straszny człowiek), a jego ofiarą był pan Wejman.

Kiedyś też zauważyłam, jak Niemiec okrutnie pobił Polaka za to, że tamten nie zdjął przed nim czapki (a takie były wymogi).

Minął rok czterdziesty, potem czterdziesty pierwszy. Wywieziono księży i całą inteligencję. Szkoły polskie były pozamykane, także kościoły. Serce krwawiło na myśl, co z nas wyrośnie, bez nauki, bez Boga, skoro wokół tylko strach, głód i poniewierka.

Jaki to był przykry widok, kiedy jesienią 1943 roku z wież kościoła zrabowali trzy dzwony. Zostały one wywiezione do huty we Wrocławiu i przetopione (jak mówiono) na armaty, z których strzelano do naszego narodu.

Dla mnie świat się zawalił, kiedy zabierali ojca do okopów. Był to rok 1944... Płakałam tak bardzo, że aż jękałam się i nie mogłam wypowiedzieć ani słowa. Ojciec to była nasza ostoja. Był krawcem, szył i zarabiał. Cóż z nami będzie? Została zrozpaczona mama, a z nią: siostra Hania, która miała wtedy lat 19 i pracowała w magazynach wojskowych, 16-letni brat Stasiu, który wciąż się ukrywał. Młodszy od niego o dwa lata Kostek pasał krowy u Niemca. Ja miałam 12 lat, Piotruś 9, Czesiu – 6, a Terenia – 3 latka. Dwie zamężne siostry, Broncia i Kazia, mieszkaly razem z nami. Wszyscy w dwupokojowym mieszkaniu.

Ojca wywieziono do Wiechucic koło Sieradza. To było 40 kilometrów drogi od Opatówka. Pamiętam bardzo dobrze, jak pewnej jesiennej, wietrznej niedzieli Hania chciała pojechać do ojca, aby mu zawieźć coś ciepłego do ubrania, no i do zjedzenia. Bilet do Wiechucic wykupiła jej znajoma Niemka. Odprowadzałam ją na dworzec i miałam uważać na żandarmów; jeśli by szli, to dać znać, aby mogła się skryć. Nie dopilnowałam. Jak burza wpadł jeden z tych wojskowych, którzy znali ją z pracy i rozpoznał ją w tłumie. Krzyczał tak okropnie, że płakałyśmy obie. Siostra usiłowała tłumaczyć, że chciała tylko podać przez Niemca, który właśnie tam jechał, paczkę dla ojca. Ten Niemiec nazywał się pan Plecke, był przedwojennym nauczycielem i dobrym człowiekiem, który pomagał Polakom. Ten wojskowy nakrzyczał, a potem wsiadł na rower i odjechał. W międzyczasie nadjechał pociąg i Hania też pojechała do ojca. Ja już z nią wtedy nie rozmawiałam, bo stałam daleko od niej, a na dworcu był tłum ludzi. Wróciłam zapłakana do domu. Powiedziałam tylko, że Hania pojechała i ten Niemiec tak bardzo na nią krzyczał.

Siostra wróciła wieczorem, ale nie mogła spać, bo lękała się o jutro. W poniedziałek, po jej przyjeździe do pracy, wydarzyło się najgorsze. Na tablicy była wypisana jej wina. Popelniła wielkie przestępstwo i za to pójdzie na siedem dni do miejscowego więzienia. W dzień będzie pracowała na polu sama, a na noc do więzienia.

Plakałam całe noce, w dzień zakradałam się do niej na pole, zanosilałam jej jedzenie i coś ciepłego do spania, ponieważ spała na cemencie. Odbiło się to później na jej zdrowiu.

Cóż było zrobić, była wojna i to Niemcy dyktowali prawa. Robili, co tylko chcieli. Znałam ich wszystkich naokoło i nienawidziłam: za ojca, za siostry, szwagrów, za brata, który ukrywał się po lasach i był już na wpół dziki. Drżał jak liść, kiedy był w domu, a ktoś zastukał do drzwi, bo myślał, że to już idą po niego. Nienawidziłam Niemców także za moją umęczoną matkę, że musiała to wszystko cierpieć, za jej spracowane ręce.

Mijały dni i tygodnie 1944 roku. Zbliżał się koniec gehenny. Wyzwolenie w naszym miasteczku nastąpiło 23 stycznia 1945 roku. Ojciec wrócił dwa dni wcześniej, ponieważ Niemcy rozpuścili wszystkich z okopów do domów, gdyż sami uciekali i nie bardzo wiedzieli, co począć z tymi ludźmi. Ojciec z innymi wracali te 40 kilometrów pieszo, a był mróz i było ślisko. Obydwie z siostrą Hanią wyszłyśmy po niego. Niemcy uciekali na Berlin, w stronę Kalisza, a my szłyśmy w kierunku Sieradza. Szłyśmy „pod prąd”.

Nareszcie – jest! Wrócił pełen optymizmu i nadziei. Był z nami w tych trudnych chwilach przemieszczania się dwóch wielkich armii – niemieckiej i radzieckiej. Był z nami i dodawał nam otuchy. Nie uciekaliśmy, bo nie mieliśmy dokąd. Siedzieliśmy w tej małej izdebce na podłodze, a chronił nas duży stół krawiecki, obudowany jak wielki kredens, z materiałami wewnątrz. Ojciec twierdził, że zanim kulka z karabinu przejdzie przez materiał, to nam krzywdy nie robi, a gdy uderzy pocisk z armaty, to chociaż bylibyśmy w piwnicy, to już z niej nie wyjdziemy.

Obok naszego domu ustawiono czołg. Widać było prawdziwy front, wokoło pożary, a obok okna przechodzili Niemcy, po chwili znów Rosjanie strzelali. Widać było, jak żołnierze przyklekają i celują jedni do drugich. My na to wszystko patrzymy, na trupy ściełające się gęsto.

Jedna kula karabinowa wpadła do mieszkania, ale siostra zdążyła odejść, bo inaczej dostałaby w plecy. Tylko tynk posypał się na śpiące dzieci: Terenię i siostrzeńca – Jurka.

Nazajutrz było pełno trupów. Tuż pod oknami leżeli Niemcy i Rosjanie.

Pamiętam ten moment: drzwi nagle się otwierają i ktoś krzyczy: wolność! Rosjanie w miasteczku! Jadą czołgami!

Wybiegliśmy z bratem z domu i pobiegliśmy do szosy. Było tam mnóstwo ludzi, którzy witali żołnierzy radzieckich. Tyle szczęścia! Tyle radości! Skończyła się wojna!

Pamiętam jeszcze jedno wydarzenie. Była niedziela, 20 stycznia 1945 roku. Niemcy uciekali, cywili było coraz mniej, wszędzie pełno żołnierzy, było ich całe mnóstwo. Zmęczeni, kulawi, mieli rozwiązane buty, nie dopięte płaszcze, byli brudni. Przechodzili obok naszego domu. Niektórzy wchodzili do środka, aby się trochę ogrzać, bo mróz był siarczasty. Kiedy otwierali drzwi, to aż para buchała. Ci, którzy wchodzili, wyglądali żałośnie. Mama ze smutkiem spoglądała na nich. Akurat kroila dla nas chleb, kiedy wszedł jeden żołnierz i tak smutno spojrzął, że mama dała mu kawałek chleba i kubek gorącej, zbożowej kawy.

I tak się zaczęło. Każdy, kto przekroczył próg naszego domu, otrzymał kubek kawy i kawałek chleba. Mama właśnie upiekła wielkie cztery bochny. Gdy zorientowała się, co robi, zostało już tylko pół bochenka. Trzeba było zaprzestać poczęstunku dla żołnierzy i zostawić coś dla dzieci. Teraz żołnierze otrzymywali tylko gorącą kawę.

W pewnej chwili wszedł bardzo wysoki żołnierz o niebieskich oczach. Spojrzął na bawiące się dzieci – Terenię i Jurka – i, dziwne, ale zaczął płakać. Nie mówił nic po

polsku, ale my przez te pięć lat nauczyliśmy się mówić i rozumieć po niemiecku. Powiedział, że on też ma akurat takie same dzieci, które zostały z żoną z Niemczech i chyba ich już nie zobaczy. Zrobiło nam się bardzo go żal.

Mimo wszystko, trudno nam było zrozumieć, dlaczego mu współczuliśmy i częstowaliśmy go chlebem i kawą. Przecież był Niemcem, a to nasi wrogowie, to przez nich wybuchła ta okropna wojna.

Dopiero tato nam to wytłumaczył. – „Widzicie, moje dzieci, gdyby to byli hitlerowcy, to na pewno żaden z nich nie wszedłby do polskiego domu. Ci, co wchodzi się ogrzać i napić gorącej kawy, to prości żołnierze niemieccy, którzy byli zmuszeni pójść na wojnę. Gdybyśmy my byli w potrzebie, oni na pewno też podali by nam rękę.”

Po latach, gdy odtwarzam to wszystko w pamięci, to podziwiam ojca i zarazem dziękuję mu za to, że potrafił przekazać nam takie chrześcijańskie, ludzkie wartości.

# Łucja z Opatówka

Opatówek – miasteczko jakich wiele. A jednak atmosfera i urok jaki stwarza wokół otoczenie, są niesamowite. Ci którzy się tu urodzili, czy spędzili dzieciństwo i młodość, myślą o nim z sentymentem i wzruszeniem.

Wądoły, rzeka Trojanówka, rozległe łąki z różowymi firletkami, las sosnowy z pagórkami i rosnące na skraju dziewanny i niezapominajki.

Tu 14 października 1913 roku urodziła się i spędziła pierwsze lata swego życia Łucja Pinczewska–Gliksman. Była córką znanych i szanowanych przed II wojną światową właścicieli Fabryki Lalek i Zabawek Drewnianych przy ulicy Łódzkiej w Opatówku – Pinczewskich. Młodość pani Łucja spędziła w Warszawie, gdzie ukończyła gimnazjum, a potem studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Aż do wybuchu II wojny światowej na każde święta i wakacje przyjeżdżała jednak do Opatówka.

Wspomnienia z Opatówka, który obok Warszawy uważała za najważniejsze dla siebie miejsce w Polsce, towarzyszyły jej do końca życia. Zawarła je w swojej poezji. Szczególnie bliska była jej przyroda, do której tęskniła, mieszkając daleko od Polski.

Z wczesnego dzieciństwa pani Łucja pamiętała Stefana Gillera, poetę o pseudonimie Stefan z Opatówka, wówczas będącego już staruszkim. Zaprzyjaźniła się z Erną Wiewiórkowską, która prowadziła księgownię w ich fabryce. Ta przyjaźń przetrwała w korespondencyjnych kontaktach aż do śmierci pani Erny w 1989 roku. W serdecznej pamięci pozostały także Bieniaszkowa i Cieślakowa z Kolonii (Tłokini).

Pani Łucja Pinczewska była Żydówką, ale przez długie lata o tym nie wiedziałam, chociaż na ogół znałam Żydów w Opatówku. Rodzice jakoś o nich nie mówili, często wspominali fabrykę Pinczewskich i to bardzo ciepło. Mieliśmy kilka zabawek z tej fabryki, między innymi loteryjkę, pajaca i wspaniałe sanki. Sądzę, że to moja niewiedza nie była wielkim błędem, gdyż sama Łucja będąc dziewczynką nie wiedziała, że jest Żydówką. Otóż miałam możliwość oglądać jej wspomnienia wyemitowane w telewizji w dniu 7 kwietnia 2003 roku. Godzina była późna. Jeszcze coś pisałam. Włączyłam telewizor i nagle usłyszałam, *nazywam się Łucja Pinczewska, urodziłam się w Opatówku, za którym tęsknię do tej pory*. Odłożyłam długopis i z zapartym tchem słuchałam. Pani Łucja wspominała: *Gdy byłam dziewczynką, w trakcie rozmowy koleżanka Ryfcia wtrąciła coś o Żydach, a kto to jest Żyd? – to my, ja, ty, a Aniela? – nie, ona nie jest Żydówką. Biedna Aniela*, odpowiedziała Łucja. Widocznie też była jej koleżanką. Jej brat natomiast dobrze wiedział, że jest Żydem, ale był co prawda dorosłym. Bardzo ładnie śpiewał. I kiedy służył w Egipcie w Armii Andersa, generał Anders chciał go zaangażować do chóru. – „Ale ja jestem Żydem” powiedział Pinczewski, - „Nie katolik mi potrzebny, tylko baryton” – odparł generał.

Pani Łucja wspominała wiele ciekawych, interesujących wątków, na przykład, jak z matką i starszym bratem została zesłana na Ural, gdzie pracowała ciężko w kopalni węgla, zarabiając 40 rubli. W czasie pobytu na Syberii jej maleńki pokój był ostoją

polskości. Schodziła się tu młodzież a matka i brat, którzy byli bardzo muzikalni, uczyli pieśni Moniuszki i Karłowicza. Natomiast pani Łucja była nauczycielką literatury polskiej. Znając na pamięć wiele utworów literackich, mogła w wojennych warunkach bez książek uczyć na Syberii polskie dzieci.

Na mocy porozumień polsko-radzieckich z lipca 1941 roku rodzina Pinczewskich została zwolniona z przymusowej pracy. Pani Łucja pracowała w Tadżykistanie w Delegaturze Rządu Polskiego przy rejestracji byłych polskich więźniów i zesłańców napływających z całego Związku Radzieckiego.

Po ciężkiej chorobie ewakuowała się razem z matką do Teheranu, gdzie od Polaka rodem z Kalisza dowiedziała się o śmierci brata Adama. To był kolejny cios. Następnie obie kobiety dostały się do Palestyny, gdzie pani Łucja pracowała w różnych polskich placówkach. „*W drodze*” współpracowała z Władysławem Broniewskim, którego знаła jeszcze z Warszawy. W Jerozolimie tworzyła wiersze po polsku, które bardzo podobały się przyjaciółom i znajomym. Po likwidacji placówek w Jerozolimie Łucja Pinczewska przeniosła się do Tel Awiwu. Tam spotkała profesora Jerzego Gliksmiana. Był on wielką miłością Jej życia. Jej pierwszy mąż – lekarz i oficer zmarł. Po ślubie pani Łucja wyjechała z mężem do Ameryki, gdzie ukończyła Uniwersytet w Chicago, a później Uniwersytet Harwardzki. Wraz z mężem dużo podróżowała, zawarła wiele przyjaźni z wybitnymi Polakami, między innymi z Józefem Czapskim, którego wspominała bardzo serdecznie. Ten szczęśliwy okres w jej życiu przerwała w 1958 roku śmierć profesora Gliksmiana. Pomimo życzliwości i pomocy znajomych Polaków, postanowiła opuścić Amerykę i wyjechać do matki do Izraela. I tak ponownie trafiła do Tel Awiwu. Matka pani Łucji wkrótce zmarła, potem zmarł ostatni brat, którym opiekowała się pod koniec jego życia.

W wieku siedemdziesięciu lat zaczęła uczyć się języka japońskiego, a po osiemdziesiątce – hiszpańskiego.

Łucja Pinczewska–Gliksmian, urodzona w Opatówku, była tu po raz ostatni przed wybuchem II wojny światowej. Katakлизм wojenny i zawirowania polityczne sprawiły, że nie mogła odwiedzić Polski. Kiedy granice naszego kraju były otwarte dla polskich emigrantów pisała z żalem, że nie może już przyjechać, bo nie pozwala jej na to zły stan zdrowia i podeszły wiek. Pomimo oddalenia pani Łucja zachowała jednak serdeczną pamięć o kraju swego dzieciństwa. Opatówek był jej zawsze bardzo bliski. Pamiętała jego mieszkańców, rodzinny dom i jego otoczenie, las, staw, łąki i wiele innych miejsc. Doceniała działalność Towarzystwa Przyjaciół Opatówka, cieszyła się ze wszystkich pozytywnych zmian zachodzących w naszym miasteczku. Poprzez korespondencję z opatowianami stała się osobą bliską nam wszystkim.

Jednak zaskoczeniem dla nas była informacja, którą otrzymaliśmy wkrótce po jej śmierci, że w testamencie sporządzonym w 1999 roku zapisała Towarzystwu Przyjaciół Opatówka 1000 dolarów. Pieniądze te wpłynęły na konto Towarzystwa w lipcu 2004 roku. Natomiast pod koniec grudnia na polecenie pani Barbary Pańskiej otrzymaliśmy ze spuścizny Łucji Pinczewskiej–Gliksmian jeszcze 250 dolarów.

Udział w spadku pani Łucji jest dla naszej organizacji nobilitacją. Jest to także zachęta do dalszej działalności na rzecz naszej wspólnej „małej ojczyzny”, do której to mam wielki zaszczyt należeć. Jestem bowiem członkinią redakcji i zarządu.

Będziemy się starali zachować pamięć o wybitnej Opatowiance, Łucji Pinczewskiej–Gliksmian przypominając jej sylwetkę i publikując jej twórczość.

### *Modlitwa*

*Boże, jeżeli kiedyś zabierzesz mnie do siebie,  
Pozwól mi starą ziemię odnaleźć w Twoim Niebie.  
Aniołów nie chcę widzieć, tylko ludzi kochanych,  
I domu z lat dzieciństwa niezapomniane ściany.*

### *Korzenie*

*Czemu trzymasz się życia rękami obiema,  
Przecież jest tylko przeszłość, przyszłości już nie ma.  
Przecież jest tylko przeszłość zapomniana prawie,  
Wszystko już tak daleko i dawno – w Warszawie.*

*Przecież jest tylko przeszłość jak węzeł korzeni –  
Tam w opatowskim lesie, tam w kaliskiej ziemi.*

# Wacława Essers

Ta ciekawa i barwna postać urodziła się w 1872 roku w Kaliszu. Była córką kaliskiego przemysłowca Kindlera. Ukończyła pensję Drozdowskiej w Kaliszu i uczyła się gry na fortepianie. Przez rok studiowała malarstwo w Warszawie w szkole Wojciecha Gersona. W 1897 roku wyszła za mąż za Holendra z Lejdy Korneliusza Essersa - inżyniera pracującego w fabryce sukna w Opatówku. Miała troje dzieci: Martę, Heddę i Janusza, który zmarł w 1918 roku na gripę, tzw. „hiszpankę”, która pochłonęła wiele istnień ludzkich.

W latach dwudziestych i trzydziestych uczyła rysunku w szkole powszechnej i w słynącym z wysokiego poziomu nauczania Seminarium dla Ochroniarek w Opatówku. Mieszkała wówczas w Opatówku.

Opatowianie pamiętają Wacławę Essers, jako artystkę-malarzkę oraz kobietę o niezwykłej kondycji fizycznej. W swoim domu posiadała specjalne przyrządy do ćwiczeń fizycznych. Była zwolenniczką kąpiei, codziennie chodziła nad rzekę na Wądałach, które ongiś wyżłobiły wielkie wody. Kąpała się przez okrągły rok. Zimą wskakiwała w przerębiel w tejże rzece. Aby odzieży nie zostawiać na śniegu zawsze obok niej siedł Jędrzek, pani Essersowa szybciotko się rozbierała, on odwracał się, brał to wszystko na ręce i trzymał do chwili, aż od niego odebrała. Jędrzek był opóźniony w rozwoju, samotny, uczynny, nosił wodę z pompy, która była usytuowana w rynku. Każdemu, kto go poprosił, chętnie usługiwał za drobne datki. Mieszkał u pana Posiłka na strychu przy ulicy Kaliskiej. Panią Essersową bardzo cenil, gdyż traktowała go z szacunkiem, nie wyśmiewała, jak czynili to inni, zwracała się delikatnie. Byłam raz świadkiem, jak Jędrzek w czapce z daszkiem do tyłu dźwigał koszyk z zakupami, pani Essersowa zwróciła się do niego „Jędrus, czapeczka Ci się przekrzywiła, popraw ją sobie”. Był to koniec lat czterdziestych.

Pani Wacława Essers mieszkała w domu należącym do fabryki sukna, później w domu Gillera, z którego została usunięta przez Niemców za sprzeciw wobec okupantów i przeniesiona do maleńkiego pokoiku przy fabryce sukna, gdzie mieszkała do 1962 roku.

W swoim życiu wiele podróżowała; odwiedziła Rzym, Jerozolimę, Paryż. Dużo malowała, a obrazy z podróży wzbogacały jej domową kolekcję. Obdarowywała nimi także krewnych i przyjaciół. Swoje obrazy wystawiała w Seminarium w Opatówku i w „Hydropatii” w Kaliszu. Obok obrazów malowanych z natury wiele kopiowała, szczególnie obrazy religijne dawnych mistrzów. Do najbardziej znanych kopii wykonanych przez Wacławę Essersową należy „Zdjęcie z krzyża” według obrazu pochodzącego z pracowni Petera Paula Rubensa. Kopia ta powstała w 1922 roku i została przekazana przez malarzkę do kościoła pojezuickiego, gdzie znajduje się do dziś. W 1948 roku Wacława Essersowa należała (obok Adolfa Bucholca, Michała Drobniaka, Heleny Kindler, Tadeusza i Władysława Kościelniaków, Wacława Kurka i Zygmunta Miszczyka) do założycieli Kaliskiego Koła Artystów Plastyków, które zorganizowało

kilkanaście wystaw obrazów. Wacława Essersowa jest prawdopodobnie także autorką dwóch obrazów, na których widnieje podpis „Sowa” znajdujących się w opatowskim kościele. Pojedyncze obrazy Wacławy, między innymi obraz pałacu Schlösserów w Opatówku, znajdują się w niektórych domach prywatnych w Opatówku.

Moje pokolenie bardzo dobrze pamięta panią Essers, wydawało nam się, że była u nas od zawsze. Była wytworną, elegancką damą. Ubierała się w długie suknie, zimą w płaszcze, zawsze w kapeluszu, bucikach sznurowanych do kolan, rękawiczkach, z parasolką, wszystko w kolorze: beżu, popielu lub bieli. Mimo sędziwego wieku, wyglądała bardzo dostojnie.

Tuż po wojnie, w 1945 roku była moją nauczycielką. Naukę rozpoczęto na krótko w budynku po dawnej Preparandzie (obecnie znajduje się tam przedszkole). Miałam możliwość znaleźć się w jej mieszkaniu, poprosiła mnie bowiem o dostarczenie zeszytów do sprawdzenia. Z największą przyjemnością je zaniiosłam, czując się zaszczyconą. Znalazłam się w małym pokoiku, szłam środkiem, a po obu stronach otaczały mnie kwiaty. Nic innego nie pamiętam, tylko biurko, na którym położyłam zeszyty i te kwiaty – kwiaty, to było cudowne – pokój w kwiatkach.

Czas szybko mijał, stałam się dorosłą osobą.

Kolejne spotkanie z panią Essersową miało miejsce w sklepie mojej siostry Tomaszewskiej. Stałam po drugiej stronie lady i obsługiwałam klientów. Pani Essers przyszła po zakupy, spojrzała na obrączkę na moim palcu: „To panienska już mężatka?” Powtórzyła to za jakiś czas, pamiętała mnie bowiem ze szkoły i dziwiła się, że dzieci tak szybko rosną, a potem się żenią i za mąż wychodzą.

Pani Wacława Essersowa, za życia przekazała najbliższym swoją wolę, jak ma wyglądać jej pogrzeb: trumna skromna, złożona na wozie konnym, wymoszczonym gałęziami brzozy, bez tablicy. Grobowiec był już przygotowany na cmentarzu parafialnym w Opatówku, gdyż jej mąż zmarł w 1928 roku. Ona natomiast odeszła z tego świata w roku 1968. W Poznaniu u córki Marty spędziła sześć ostatnich lat swojego życia. Zgodnie z wolą zmarłej, zwłoki przewieziono do Opatówka i wszystkie jej życzenia zostały spełnione. Jej grobowiec jest usytuowany na granicy cmentarza katolickiego i ewangelickiego, ponieważ Wacława Essersowa była katoliczką, a jej mąż ewangelikiem. W grobie spoczywają głowami do siebie. Tak jak sobie życzyła, na grobowcu nie ma tablicy, a tylko napis „Grób Essersów”.

Dla wielu było dziwne, że wnukowie pani Essersowej z siwizną na skroniach, stali przed bramą cmentarną i każdemu uczestnikowi pogrzebu wręczali z woreczka monetę. Ludzi było dużo, wśród nich i moja skromna osoba. Pani Wacława Essersowa dożyła sędziwego wieku 96 lat.



# Dorota Ścigajłło - pielęgniarka

Pani Dorota nie jest rodowitą opatowianką. Przybyła do Opatówka w 1945 roku, mając 30 lat. Całe jej życie ukształtowane zostało przez wybrany zawód pielęgniarki. Niesienie pomocy innym, działanie na rzecz tych, którzy potrzebowali wsparcia, życzliwości, ulgi i pokrzepienia to nadrzędny cel, któremu podporządkowała całe lata swojej zawodowej pracy, a także i życia. Pracowała w miejscowym Ośrodku Zdrowia z dr Zamojskim, Warchołem, Jerzym Popielem.

Jej udział w zwalczaniu takich chorób społecznych i zakaźnych jak gruźlica, jaglica i choroby weneryczne jest powszechnie znany. Była czynną działaczką PCK, przez wiele lat była honorowym dawcą krwi i dzięki jej zaangażowaniu i autorytetowi młodzież ze Szkoły Ogrodniczej w Opatówku zaczęła również oddawać nieodpłatnie krew. Kiedy pani Dorota stała na ulicy z puszką PCK, zbierając pieniądze na rzecz potrzebujących dzieci z Domów Dziecka w Liskowie, jej puszka była zawsze najpełniejsza.

Miałam możliwość odwiedzić panią Dorotę w jej mieszkaniu. Byłam zachwycona jej pasją haftowania. Były to różnorodne prace: od serwet, bieżników, richelieu do przepięknych obrazów na ścianach. Były tam również obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej i Matki Boskiej Katyńskiej (ten ostatni znajduje się obecnie w naszym kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opatówku), obrus z motywami oświęcimskimi i postacią ojca Makcymiliana Kolbego i makami, który znajduje się teraz w Częstochowie na Jasnej Górze na ołtarzu ojca Kolbego.

Za swoją działalność zawodowo–społeczną otrzymała szereg odznaczeń państwo–wo–resortowych, w tym: Złotą Odznakę PCK, Medal 40-lecia Polski Ludowej, odznakę Za zasługi dla Województwa Kaliskiego, Order Uśmiechu, Medal Florence Nightingale. Te odznaczenia były przez opatowian przyjmowane z radością i dumą. Wydaje się, że pani Dorota była od zawsze w Opatówku, choć urodziła się i wychowała w Kosowie na ziemi poleskiej. Jednak powojenne losy rzuciły ją do Opatówka, który stał się dla niej drugim najważniejszym miejscem na ziemi.

Jej wspaniałe, długie i pracowite życie dobiegało końca. Dorota Ścigajłło zmarła 18 listopada 2006 roku, w wieku 91 lat. Pozostanie w naszej pamięci jako niedościgniony wzór prawdziwego człowieczeństwa, któremu towarzyszyła rzadko spotykana skromność.

# Mieczysław Kocemba

Urodził się w Opatówku w 1926 roku i tu mieszkał przez całe swoje życie. Kochał to miejsce i starał się aby inni także je pokochali.

Pragnę opisać niektóre z jego pasji, rzecz jasna nie wszystko, gdyż kronika jego czynów społecznych i imprez jest tak opasła i ciężka, że trudno ją udźwignąć. Jednak nie będą to tylko suche fakty, bowiem czytający te wspomnienia będzie miał przed oczami obraz danej imprezy, czy też czynu społecznego. Chciałabym je opisać dlatego, aby następne pokolenie mogło sobie wyobrazić, jak wyglądało miasteczko Opatówek w dni wolne od pracy - czyli w niedzielę.

Przed podjęciem pracy w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Opatówku na stanowisku kierownika, pracował w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Kaliszu. Tam wykazywał się rzetelną pracą, za którą otrzymywał wyróżnienia i nagrody. Złożył wiele wniosków racjonalizatorskich, które były zastosowane w produkcji. Otrzymał odznakę „Przodownika Pracy” z podpisem dyrektora naczelnego Zygmunt Nawrocki 14 kwietnia 1956 roku jako ciekawostkę dla potomnych, bo takie to były czasy. Cytuję:

*„Dyrekcja Zakładu, wraz z czynnikami polityczno – społecznymi, doceniając wysiłek i wkład pracy jaki Obywatel Mieczysław Kocemba włożył dla dobra Zakładu i jego rozwoju, postanowiła z okazji Święta Narodowego Polski dnia 22 lipca 1958 roku przydzielić Obywatelowi jako nagrodę talon, na kupno motocykla marki WSK. Warunki kupna i odbiór motocykla ustali Rada Zakładowa.”*

*Dyr. Przedsiębiorstwa inż. Da-  
riusz Czyżewski  
Związek Zawodowy Metalowców  
w Polsce  
Rada Zakładowa*

*przy WSK  
Kalisz Częstochowska 140  
druga strona  
pieczętka p. w.  
zapłacono 7015 zł*

*31 VIII 58 r.  
podpis Kołodziejczyk*

W 1973 roku z inicjatywy i pod kierownictwem Mieczysława Kocemby załoga filii Państwowego Ośrodka Maszynowego w Opatówku w czynie społecznym wykonała wiatę na przystanku PKS i MPK. Korzystają z niej pasażerowie zarówno PKS jak i MPK. Przy wiacie znajduje się gablota, w której umieszczono rozkład jazdy i zegar. Cała wiatka jest oświetlona.

## WIANKI

W gazecie „Ziemia Kaliska” z dnia 28 czerwca 1975 roku czytamy: *Inicjatorem i organizatorem imprezy wiankowej w dniu 22 czerwca 1975 roku były dwa zakłady z Opatówka to jest: Państwowy Ośrodek Maszynowy z jej kierownikiem Mieczysławem Kocembą i Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska z jej prezesem Aleksandrem Korzeniowskim.*

*Na nowo wybudowanym basenie odbyło się wiele atrakcji – puszczanie oryginalnego wianka, którego skonstruował Mieczysław Kocemba, jazda łodzią, mecz piłki wodnej, sztuczne ognie.*

*Przed rozpoczęciem odbył się pokaz mody letniej, którego przygotowała i prowadziła Marianna Kocemba, Kierownik Ośrodka Nowoczesna Gospodyni, przy GS Samopomoc Chłopska w Opatówku.*

## POWITANIE NOWEGO I POŻEGNANIE STAREGO ROKU 1975

Bał Sylwestrowy na wolnym powietrzu odbył się na Placu Wolności - na rynku w Opatówku z inicjatywy Mieczysława Kocemby i Aleksandra Korzeniowskiego (prezesa Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Opatówku).

Była to piękna impreza. Na placu ustawiono platformę z olbrzymim zegarem o wysokości 2,5 metra, wskazującym godzinę dwunastą. O godzinie 23.35 przyjechał samochód strażacki, z którego wolnym krokiem wyszedł staruszek – Rok 1975. Następnie samochód MO przywiózł uroczę chłopię z przewiazaną błękitną szarfą, na której widniał napis „Nowy Rok 1976”.

Punktualnie o północy kominiarz uderzył w gong dwanaście razy. W tym czasie wystrzelono 12 rakiet, po czym zagrano hejnał. Po hejnale orkiestra dęta z Opatówka odegrała hymn państwowy, następnie zaś poloneza i inne melodie. Życzenia noworoczne złożyli: wiceprezes Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska Władysław Bieniaszek i Marianna Kocemba, kierownik Ośrodka Nowoczesnej Gospodyni przy GS Samopomoc Chłopska, która poprowadziła całą imprezę.

Mieszkańcy Opatówka przybyli bardzo licznie. Łza mi się w oku zakręciła gdy ujrzałam w tłumie pana Z. Nowickiego na wózku inwalidzkim. Był on bardzo szczęśliwy, że może uczestniczyć w noworocznej zabawie. Przybyli goście wznosili toasty szampanem, śpiewali i tańczyli. Akurat nie było śniegu, plac był czysty i suchy, można było więc tańczyć.

## „NA ZDROWIE PAŃ” W OPATÓWKU

Pisał o tym tygodnik „Ziemia Kaliska.”:

*Dnia 14 marca 1976 roku z tygodniowym opóźnieniem, ze względu na to, że kilkadziesiąt Pań biorących udział w wycieczce na Węgry, zorganizowanej przez GS Samopomoc Chłopska w Opatówku, odbyła się w tym miasteczku niecodzienna uroczystość.*

*Dwaj ostatnio aktywni działacze A. Korzeniowski i M. Kocemba dogadali się znowu i zorganizowali niemalym nakładem energii i pomysłowości spotkanie 230 kobiet z całej gminy reprezentujących wszystkie środowiska gminne.*

*W uroczystości wzięli udział wicewojewoda kaliski Jan Kolenda wraz z małżonką oraz sekretarz KG Jerzy Lisiak z małżonką.*

*Kilkanaście najbardziej zasłużonych kobiet otrzymało z rąk I Sekretarza KG PZPR listy gratulacyjne i od towarzysza Jerzego Kusiaka I Sekretarza KW PZPR w Kali-*

szu. Mieczysław Kocemba i Aleksander Korzeniowski ofiarowali kobietom olbrzymi kosz kwiatów. Podczas uroczystości odbył się występ artystyczny i pokaz mody. Kelnerzy w białych marynarkach i czarnych muszkach w białe grochy rozlewali szampan i usługiwali paniom.

## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

W dniu 24 czerwca 1976 roku odbyła się niepowtarzalna impreza kulturalna o nazwie „Wianki Świętojańskie”, zorganizowana przez Państwowy Ośrodek Maszynowy i Gminną Spółdzielnię Samopomoc Chłopska.

Imprezę zapoczątkował barwny korowód składający się z 30 pojazdów, w których jechały: zespoły ludowe, wiele gospodarzy i gospodyń w barwnych strojach, orkiestry dęte z Opatówka i Chełmc, orkiestry smyczkowe, chórzyści z Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, komedianci z Państwowego Ośrodka Maszynowego na hulajnogach oraz straż pożarna. Korowód prowadził pastuch na małym koniku, a za nim jechała banderia konna. Przemarsz oglądali zaproszeni goście: wojewoda kaliski mgr Zbigniew Chodyła z małżonką i wicewojewoda mgr Jan Kolenda z małżonką, prezydent miasta Kalisza mgr Alfred Kaczmarek, Andrzej Wasilewski, Jerzy Więckowski, KW PZPR w Kaliszu i tłumy ludzi.

W drugiej części oficjalnej, która odbyła się przy zalewie Aleksander Korzeniowski i Mieczysław Kocemba podziękowali władzom wojewódzkim za pomoc przy kopaniu zalewu, a społeczeństwu za udział.

Nastąpiła część trzecia artystyczna.

Jej początek był fascynujący, nadleciał bowiem samolot i zrzucił trzy wianki uwite z polnych kwiatów. Jeden z nich został wręczony wojewodzie kaliskiemu, który jako pierwszy puścił go na nowo wybudowany zalew. Zaczęły się atrakcje na wodzie, po której pływały: kajaki, łodzie, rower wodny i mnóstwo przeróżnych wianków, a gdy zaczęło zmierzchać, rozbłysły kolorowe światła wokół całego zalewu, na wysepce paliły się również pochodnie i rozbrzmiewały rakiety.

Orkiestry grały na przemian, chór śpiewał wesołe piosenki. Ci, którzy przybyli na imprezę, setnie się bawili. Gdy wybiła północ, odważni poszli szukać kwiatu paproci. W przygotowaniu imprezy kierownikowi Mieczysławowi Kocembie pomagali pracownicy Państwowego Ośrodka Maszynowego: Henryk Śmietański, Edmund Kiermasz i Stanisław Gawel.

W części artystycznej udział wzięli: Jan Grzesiak, Stanisław Kocemba, Wacław Młynek, Jan Chwierala, Zbigniew Zimny, uczeń trzeciej klasy szkoły podstawowej, syn pracownika Kazimierza Zimnego.

Komentarz i prowadzenie były dziełem kierowniczkii Ośrodka Nowoczesna Gospodyni – Marianny Kocemba.

## DOŻYNKI 18 WRZEŚNIA 1977 ROKU

Dla usatysfakcjonowania mieszkańców Gminy Opatówek za zajęcie pierwszego miejsca „Mistrz Gospodarności” województwa kaliskiego, władze województwa poleciły „władzom” gminnym w Opatówku zorganizowanie dożynek gminnych, w których zadeklarowały swój udział.

Część artystyczną dożynek powierzono Mieczysławowi Kocembie kierownika Państwowego Ośrodka Maszynowego Kalisz – filia w Opatówku i Aleksandrowi Korzeniowskiemu prezesowi GS Samopomoc Chłopska w Opatówku, przez I wicewojewodę mgr Jana Kolendę, w obecności I Sekretarza KG w Opatówku Tadeusza Olszewskiego

i Naczelnika Gminy Czesława Szmajdzińskiego. Aleksander Korzeniowski i Mieczysław Kocemba opracowali program dożynek i z pełnym poświęceniem wzięli się do pracy, ponieważ pracowali wyłącznie po godzinach pracy, w dni wolne i niedziele.

Dożynki składały się z trzech części:

1. Korowód dożynkowy;
2. Część oficjalna
3. Część artystyczna, przemarsz korowodu.

Przed Domem Towarowym w Opatówku ustawiono płot, jakby zagrodę chłopską, zza którego władze wojewódzkie, gminne i zaproszeni goście oglądali przebieg korowodu, składającego się wyłącznie ze starych pojazdów. O godzinie 14.00 do Trybuny, czyli zagrody, zaproszeni goście w osobach: I Sekretarz KW PZPR Jerzy Kusiak z małżonką, Wojewoda Kaliski Zbigniew Chodyła, wicewojewoda mgr Jan Kolenda, Sekretarz KW inż. Król z mężem, Prezes Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych inż. Aleksandra Antczak, I Sekretarz Komitetu Gminnego w Opatówku, Tadeusz Olszewski z małżonką, Prezydent Miasta Kalisza mgr Kaczmarek, Ryszard Różański, Dyrektor Technikum Ogrodniczego w Opatówku mgr inż. Michał Jakubowski, Prezes WZGS mgr Głowacki, Przewodniczący Komitetu Wojewódzkiego Frontu Jedności Narodu mgr Rajch, Włodzimierz Molski, Jan Zatka, inż. Włodzimierz Toba.

Zbliżają się twórcy korowodu Mieczysław Kocemba i Aleksander Korzeniowski, na przepięknie ubranym powozie wzorowego rolnika, mieszkańca Szulca Aleksandra Rogi. Przy Trybunie Marianna Kocemba kierownik ONG z gromadką dzieci i mikrofonem. Po powitaniu gości przez Dankę Lindnera w imieniu wszystkich dzieci Gminy. Po przekazaniu I Sekretarzowi KW PZPR w Kaliszu Jerzemu Kusiakowi i Sekretarzowi Zbigniewowi Chodyle oraz wszystkim gościom, gotowość korowodu do przeglądu.

Zaczęła się ceremonia przemarszu. Prezentację korowodu prowadziła Marianna Kocemba, informując o różnych zasługach biorących udział. Jako pierwsza szła orkiestra dęta z Tłokini Wielkiej, składająca się wyłącznie z młodzieży i dzieci ubranych po ludowemu. Za orkiestrą banderia konna prowadzona przez ob. Trzęsowskiego, wzorowego rolnika ze wsi Nędzrzew.

Następnie pokazano cały proces otrzymywania ziarna do wypieku chleba. Pomysł procesu, opracowanie, zbudowanie wiatraka i pieca, wykonał własnoręcznie Mieczysław Kocemba. W kolejności szli: oracz, koń z pługiem, chłop z koniem i broną, następnie siewca, klepanie kos, żniwiarze, wiatrak, który mielił cały czas, i z niego podano mąkę gospodyni, a ta na oczach widzów urobiła ciasto, wsadziła do pieca i wysadziła gotowy chleb, podając go staroście z przeznaczeniem dla Gospodarza Dożynek. Za Starostą i Starością wiezionych przez rolnika Raszewskiego z Cieni III wieziono wieniec z płonami, za wieniec chór z GS Opatówek, prowadzony przez mgr Jerzego Rubińskiego, następnie pani Maria Marszałowa z Cieni I w swoim powozie dwukołowym, udekorowanym w kwiaty. Tuż przed trybuną wypuściła białego gołębia.

Była to część wskazująca na trud rolnika w otrzymywaniu chleba. Następnie szedł kogut i kura, symbolizując przyjaźń dwóch zakładów POM i GS, tak od siebie różnych. Pomysłodawcą i wykonawcą był Mieczysław Kocemba. Chciał wprowadzić coś nowego, wesołego do tej imprezy. Następnie orkiestra dęta z Opatówka, w pięknych galowych mundurach, na czele z wielce zasłużonym społecznikiem, dyrygentem Janem Trzęsą. Z kolei zespół ze świetlicy środowiskowej z Opatówka i Koła Gospodyń Wiejskich z Sierzchowa w powozach konnych oraz delegacje chłopskie. Gościnnie wystąpił zespół taneczny i orkiestra mieszana z SHR Marchwacz, na własnych powozach

przejechali przed trybuną. W następnej kolejności szła orkiestra z Chełmc, za nią zespół ludowy i delegacje chłopskie oraz kuchnia polowa.

Organizatorzy korowodu poprosili władze wojewódzkie i gminne o skorzystanie z przejażdżki bryczkami, aż do boiska sportowego.

W czasie zajmowania miejsc przez władze i gości na trybunie, samolot z WSK Kalisz zrzucił symboliczny wieniec na płytę boiska, po czym I Sekretarz KG Tadeusz Olszewski wygłosił krótkie przemówienie, wprowadzając w temat odbywającej się uroczystości, prosząc gospodarza dożynek I Sekretarza KW Kalisz Jerzego Kusiaka o przyjęcie tradycyjnego bochna chleba. Zaczyna grać orkiestra dęta z Opatówka pod batutą J. Trzęsały, śpiewa chór, „plon niesiemy plon”. Zaczyna się ceremonia wręczenia chleba. Starościna Eugenia Łańduch wzorowa gospodyni, przew. KGW z Chełmc i Starosta Stefan Zimny, wzorowy rolnik z Cieni III. Po przekazaniu chleba gospodarzowi starosta i starościna zaprowadzili gospodarza za stół prezydialny, zajmując jednocześnie miejsce.

I Sekretarz KW PZPR Jerzy Kusiak w swym przemówieniu wyraził się bardzo pochlebnie pod adresem mieszkańców Gminy Opatówek za zdobycie I miejsca w województwie na „Mistrza Gospodarności” województwa kaliskiego.

Na liście nagrodzonych, na pierwszym miejscu widnieje nazwisko Marianny Kocemby, kierownika ONG nagroda 1500 zł. Dwudziestu pięciu nagrodzonych: czterech po 1000 zł, ośmiu po 800 zł, jedenastu po 600 zł i jeszcze jeden prezes Aleksander Korzeniowski 1500 zł.

Oprócz spraw zasadniczych takich jak postęp w rolnictwie, podkreślono zorganizowanie dożynek w stylu staropolskim, mówiąc słowami „to dobrze, że utrzymujecie obrzędy stare”.

Po przemówieniu gospodarza dożynek I Sekretarza KW PZPR Jerzego Kusiaka, Marianna Kocemba rozpoczyna część artystyczną słowami ojca literatury polskiej, Jana Kochanowskiego, które brzmiały: „Wsi spokojna, wsi wesoła, który głos twej chwale zdoła. Kto twe wczasy, kto pożytki, może wspomnieć zaraz wszytki?” obejmując jednocześnie prowadzenie. Ze świetlicy środowiskowej Opatówek, tańczą poloneza przy dźwięku orkiestry dętej i chóru. W kolejności występują KGW z Chełmc, KGW z Sierzchowa, Świetlica Środowiskowa Opatówek, Wspaniała Zespół Taneczny z Marchwacza SHR. Jan Chwierała z POM śpiewa piosenkę specjalnie napisaną przez niego i Mieczysława Kocembę, której słowa brzmiały:

*Powiadali ludzie, w Kaliszu i wszędzie,  
że to w Opatówku wielkie święto będzie.  
Wielkie święto będzie, zboże jest w stodole,  
Nie zabraknie chleba, gdy pójdziemy w pole.*

Końcowa zwrotka, a było ich kilka:

*Ja wam tu śpiewałem, kapela mi grała,  
ale po dożynkach praca pozostała.*

Wspomniany kogut i kura, symbolizujące dwa zakłady POM i GS przy spontanicznych oklaskach wykonały taniec miłosny. Jako kogut wystąpił Grzegorz Chwierała, a jako kura Lech Olejnik. Obaj pracownicy POM, GS przygotował piękny bar i kiosk. W czasie konsumpcji trwały dalsze występy artystyczne.

KGW w Chełmcach przygotowało staropolskie potrawy zapraszając gości do wzięcia udziału w podwieczorku, który odbył się w niezwyklej atmosferze w Szkole Ogrodni-

czej w Opatówku. I Sekretarz KW i wicewojewoda mgr Jan Kolenda, kierowali słowa uznania i podziękowania za wkład pracy w zorganizowaniu tej wspaniałej uroczystości. Szczególne podziękowanie skierowali I sekretarzowi KG w Opatówku Tadeuszowi Olszewskiemu oraz Mariannie Kocembie, Aleksandrowi Korzeniowskiemu i Mieczysławowi Kocembie. Imprezę tę oglądało około 7500 widzów na 12000 zamieszkałych w gminie.

Przy wykonywaniu ptaków, wiatraka i pieca pomagali Mieczysławowi Kocembie, pracownicy POM: Sławomir Gawel i Edmund Kiermasz.

Były imprezy, były również czyny społeczne.

## CZYN SPOŁECZNY 1977 ROKU

Z inicjatywy I sekretarza KG w Opatówku Tadeusza Olszewskiego w końcu grudnia 1977 roku na przystanku Opatówek – Szkoła, została zbudowana przez niektórych pracowników Filii POM w Opatówku wiata dla dzieci. Wiata powstała z pomysłu i projektu oraz bezpośredniego wykonawstwa Mieczysława Kocemby, kierownika Filii, któremu według wkładu pracy pomagali:

1. Kiermasz Edmund 15%
2. Guźniczak Edward 10%
3. Bartosik Wiesław 8%
4. Mania Stanisław 5%
5. Okoński Dariusz 3%.

Wiata została zbudowana i zamontowana poza godzinami pracy. W „Ziemi Kaliskiej” ukazało się podziękowanie za tak wspaniały prezent.

*Takich ludzi jak Mieczysław Kocemba, który był inicjatorem czynu oraz pozostałych wykonawców wiaty, można nazwać śmiało przyjaciółmi dzieci i młodzieży.*

*W podpisie Dyrekcja Szkoły i uczniowie.*

Następny czyn społeczny i następna wiata na przystanku PKS w Cieni I z przeznaczeniem dla dzieci.

Pomysłodawcy i wykonawcy Mieczysławowi Kocembie, pomagali pracownicy POM: Chojnacki Waław, Chwierala Grzegorz, Cieślak Jerzy, Kiermasz Edmund, Olejnik Lech.

Wiata została postawiona dnia 28 grudnia 1978 roku, akurat przed falą silnych mrozów.

A w roku 1979 w czasie nawiedzenia Polski przez silne mrozy i śniegi, Mieczysław Kocemba znając swe możliwości twórcze, zbudował pług doczepiony do ciągnika ze specjalnie skonstruowanym sterem, umożliwiającym stabilne prowadzenie. W dniu 2 stycznia 1979 roku ciągnik z pługiem wziął udział w odśnieżaniu Opatówka i okolic. Władze gminne: I sekretarz KG w Opatówku Tadeusz Olszewski, I naczelnik gminy mgr Jerzy Lisiak, wyrazili swoje zadowolenie i podziękowania dla Mieczysława Kocemby oraz pracownikom POM – w imieniu społeczeństwa Opatówka.

W styczniu tegoż roku na inaugurację Międzynarodowego Roku Dziecka Mieczysław Kocemba zorganizował kulig dla dzieci szkolnych. Do tego celu użył uprzednio zbudowane sanie, na które umieszcza się ławki parkowe oraz pasy specjalnie przygotowane do których można przyczepić 25 sanek. Do kuligu włączył się prezes GS Samopomoc Chłopska A. Korzeniowski. Trasa wiodła przez Cień I, następnie do

Cieni III, tam rozpalono ognisko, dzieci opiekaly kielbaski, byla goraca herbata w termosach i bulki. Dzieci w ramach konkursu lepily balwanki, rozwiazywaly zagadki, recytowaly wiersze i spiewaly piosenki. Byly nagradzane. Te czesc przygotowala i prowadzila Marianna Kocemba kierownik ONG. Przy saniach, pasach, montowaniu lawek pomagali: Rutowicz Zdzislaw, Smietański Henryk, Chojnacki Wacław pracownicy POM.

I kolejne spotkanie w Opatówku.

## „KONKURS POTRAW”

W dniu 8 lipca 1979 roku zostala zorganizowana wielka impreza dla uczczenia 35 rocznicy PRL pod haslem „spotkanie na wsi”. Przygotowaly sie do niej przede wszystkim kobiety z KGW – Chełmc, Szulca, Cieni I, Cieni III, Tłokini Kościelnej, Michałowa II i Sierzechowa, a uroczystosc swoja obecnością zaszczycili m. In. I sekretarz KW PZPR Zbigniew Chodyła, wicewojewoda Jan Kolenda, nie mówiac juz o przedstawicielach miejscowych władz na czele z I sekretarzem KG PZPR Tadeuszem Olszewskim, udział wzięło około 300 osób.

Spotkanie przy dźwiękach kapeli ludowej rozpoczęło się w remizie OSP degustacją potraw, jakie kiedyś należały do specjalności poszczególnych wsi. Była więc i kasza z mlekiem, żurek i kwasinko, gzika, kluski kartoflane i żytnie kluski krojone, makielki, racuchy, podplomyki, makowiec, czernina z kaczki, mięso dawnym sposobem przyrządzane, jagły, kapuśnica, pyrczoki, kluchy jak paluchy, polewka z ziemniakami dłubanymi ale było również prosię bogatego gospodarza (w tym przypadku u wójta). Jadło się więc jak rzadko kiedy jada się w domach miejskich, a także w wiejskich.

Z remizy przemieszczono się nad zalew, przystrojonymi bryczkami i drabiniastymi wozami. Tam przed zrekonstruowaną wiejską zagrodą sprzed lat na rozpoczęcie występów artystycznych czekało już kilkuset mieszkańców gminy.

Muzyką, tańcem i własnymi tradycyjnymi przyspiewkami, rozpoczął zespół z Chełmc. Po nim obrazki z dawnych zwyczajów na wsi w wykonaniu mieszkańców Cieni III z komentarzem współorganizatora i reżysera widowiska, Marianny Kocemby. W tej zaprezentowanej w widowisku rodzinie, każdy z jej licznych członków - dziadka, rodziców i kilkorga dzieci, miał swoje miejsce, obowiązek pracy. I wykonywał ją przy pomocy starych wypożyczonych urządzeń „mechanicznych”, kierzynki, wałkownicy, bali do prania bielizny, nosidła do noszenia wody w wiadrach. Najlepszym dowodem na to, że widowisko się podobało były wybuchające raz po raz gromkie śmiechy, oklaski, komentarze. W następnej kolejności prezentowały swoje programy zespoły artystyczne z całej gminy. Zabawa była miła, wesoła, przypominająca młodym wszystko to, o czym dzisiaj zapomniano. I to jest największą zasługą organizatorów „spotkania na wsi”.

Ciepłe słowa jakie można powiedzieć o wszystkich członkiniach KGW, które szyły dawne stroje, przyrządzały potrawy, o Józefie Knopie – sołtysie z Cieni III, który wraz z mieszkańcami budował dawną zagrodę, o Aleksandrze Roga z Szulca, Stefanie Zimnym, Janie Trzęsale, Władysławie Olejarczyku i wielu, wielu innych, którzy nie szczędzili trudu, by zabawa wypadła wyśmienicie.

## WYSTAWA „OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA”

Na pierwszej stronie „Ziemi Kaliskiej” z 7 listopada 1982 roku czytamy: „Takie na wsi są zwyczaje” i wystawa „Ocalić od zapomnienia”.



7 listopada już od godzin popołudniowych sala OSP w Opatówku zaczęła wypełniać się zjeżdżającymi z okolicznych wsi rodzinami rolników, przedstawicielami władz wojewódzkich i gminnych. Wszystkich wchodzących, przy akompaniamencie różnej wesołej melodii orkiestry ludowej z Chełmc, witali w drzwiach gospodarze spotkania: Marianna i Mieczysław Kocembowie. Ona w stroju z końca XIX wieku – pięknej haftowanej bluzce, długiej wełnianej czarnej spódnicy andzwołowej (cienka wełna) na głowie kapelusik z piór – pamiątka po dziedziczce Niemojowskiej z Marchwacza (wypożyczono od pań z Michałowa). On w zwykłym współczesnym garniturze. Ona reprezentująca Ośrodek Nowoczesna Gospodyni przy GS Samopomoc Chłopska w Opatówku, on – Oddział Gminny Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego. Goście wśród których znaleźli się m. in.: wicewojewoda Jan Kolenda, przewodniczący Wojewódzkiego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego dr Stanisław Olczak, prezes TKZK Juliusz Wittich oraz dyrektor Wojewódzkiego Biura Wystaw Artystycznych Krzysztof Jeżyk. Zanim zajęli miejsca wzrok ich przykuł widok kobiet, przy darciu pierza, we wspaniałej wnęce z oknem, w której urządzono wiejską izbę. Ustawiono serwantkę i ozdobiła ją wycinkami, zawieszono talerze i łyżki. Obok łóżko z poduchami i słomą zamiast materacy, kufer na odzież, piecyk żelazny o trzech fajerkach, duży dębowy stół, ława i krzesła. Nad łóżkiem wisiała makata, wyżej obrazy święte, obok zegar porcelanowy, złożony z wagami do nakręcania, lampa naftowa, różnego rodzaju makatki haftowane, torebki na szczotki i grzebienie. W oknie firanki do połowy, zasłonki żółte z adamaszku, też krótkie rozsuwane na boki i doniczki z czerwonymi pelargoniami. Przy wejściu obok kufra stały trepy (buty na drewnianych spodach) i latarka. Podłoga posypana białym piaskiem. Tak wyglądała izba.

Za wnęką izby zostały umieszczone eksponaty, takie jak: cierlica do łamania lnu, obok kołowrotki do przędzenia, balia z wodą i pralką blaszaną do prania bielizny, wałkownica (magiel ręczna), dzieża do zaczyniania ciasta, łopata do wsuwania i wyjmowania chleba z pieca, wyżłobiona z potężnego pnia niecka do wyrabiania ciasta i Jadwiga do rżnięcia sieczonek.

Na ścianach wisiały: zakiety aksamitne, suknie, szale andzwołowe (bardzo cienka wełna), także chusty, spódnice, chusty derowe, nakrycia na łóżka pluszowe, makaty, kapa na łóżka ręcznie robiona, bluzki haftowane, bielizna damska i męska, spodnie sukienne. Na stołach okrytych zielonym sukniem, porcelana, dzbanki, kubki, filiżanki, masielnice, kufle (liczące ponad 120 lat), figurki złożone, świeczniki, szkatułki, moździerze, młynki, zegary, różne żelazka m. in. z 1830 roku, Książki takie jak „Teatr dla młodzieży”, Meble Kolbuszowskie, książeczki do nabożeństwa oprawione w skórę ze złożonymi brzegami, „Rycerz Niepokalanej” napisany przez Maksymiliana Kolbe w 1932 roku, pieniądze papierowe i monety z różnego okresu, stare fotografie, była szczotka z włosia, którą używano w 1826 roku w fabryce sukna w Opatówku, kurtka z sukna z tejże fabryki. Było jeszcze mnóstwo drobiazgów, których nie sposób wymienić. Wszystko miało podpis i datę.

Następnie oglądano jak gospodynie na oczach wszystkich, w kierzynkach robiły masło, wyrabiały je w słonej wodzie i formowały klepki. Inne przędły na kołowrotekach, a było ich kilka, była też praska do sera, z której wyciskano smaczny ser. Było pranie bielizny dawnym zwyczajem, maglowanie, mycie nóg w misce, wchodzenie do beczki i ubijanie kapusty nogami, którą dwie panie kroili. Wśród gości była też grupa harcerzy, którzy widzieli to po raz pierwszy na własne oczy. Po zaprezentowaniu wszystkich prac zaprosiłam miłych gości do obejrzenia fragmentu inscenizacji wesela, jakie odbywały się w naszych stronach. W trakcie oglądania ukazały się kobiety z tacami chleba z masłem i serem oraz plackiem i pączkami dużych rozmiarów, posypanych drobnym cukrem. W weselu brały udział panie z pięciu Kół Gospodyń Wiejskich oraz

z Opatówka. Jeśli chodzi o panów, to niejednokrotnie byli to mężowie zaangażowanych kobiet, znajomi, sąsiedzi, słowem chętni, popierający tradycję ludową.

Gospodynie we własnym zakresie upiekły chleb, ciasto, zrobiły masło i ser. Goście zjadali się z wielkim apetytem. A państwo młodzi to: Łukaszczyk Bożena z Opatówka i Grzesiak z Cieni Folwark.

Przyśpiewki inne jak zwykle na weselu, ośmieszano nawyki pijących alkohol, były także skecze z diabłem, jak się zakrada, by zdobyć dusze nieszczęśnika.

Koła Gospodyń Wiejskich to niejednokrotnie Koła Przeciwalkoholowe, które w swoich wsiach na wieczornych spotkaniach starają się nie tylko nie używać alkoholu ale radzą nad tym jak pomagać rodzinom, które mają z nim problemy. Wszyscy goście uznali, że można się świetnie bawić bez wódki.

Całość wypadła świetnie, goście byli ogromnie zadowoleni. Pierwszy dzień emocji minął. Od poniedziałku wystawę zaczęły zwiedzać szkoły: Technikum Ogrodnicze, Rolnicze, Szkoła Zasadnicza, Zbiorcza Szkoła Gminna, Szkoła z Sierchowa. Zwiedzanie trwało do soboty. Muszę nadmienić, że każda grupa po zwiedzaniu życzyła sobie pogadanki na temat wystawy. Wszyscy siadali, a my oboje, z mężem, w miarę możliwości staraliśmy się odpowiadać na pytania. Młodzież wychodziła usatysfakcjonowana. W niedzielę, a była to już druga niedziela, wystawa udostępniona była dla wszystkich mieszkańców Opatówka i nie tylko. Zwiedzający mieli możliwość wysłuchania przyśpiewek, recytacji, monologów, które nagraliśmy podczas tej imprezy. Opuszczający wystawę dziękowali serdecznie. Nie spodziewali się, że tyle wspaniałych, cennych, zabytkowych rzeczy znajduje się w naszej miejscowości. Starsi sobie przypomnieli, a młodzi widzieli po raz pierwszy i też byli zachwyceni bogactwem eksponatów i ciekawych sprzętów nie zmechanizowanych.

Wystawa została zamknięta. Satysfakcja, owszem, była. Telewizja zaszczyliła nas swą obecnością, przyjechali z Warszawy aby uwiecznić bogatą tradycję tych stron. Ekipa była zaskoczona, że w takim małym miasteczku zorganizowano tak bogatą i wszechstronną historyczną wystawę.

Kamerzysta w rozmowie z moim mężem Mieczysławem Kocembą, skomentował to słowami: „Jestem 20 lat kamerzystą i na takiej imprezie jeszcze nie byłem. Począwszy od wystroju sali, różnorodności eksponatów, zachowania się gości, wszystko godne pochwały. A Pani Marianna to bomba. Tak pięknie przygotowała i objaśniała w taki sposób, że chciało się słuchać.”

W gazetach również bardzo pochlebnie pisano. Społeczeństwo mile wspomina to niecodzienne wydarzenie, a były dyrektor Muzeum Historii Przemysłu w Opatówku pan Hauk wprost nie miał słów, powiedział: „To niepowtarzalna wystawa, to było piękne, nie da się zapomnieć.”

### *Gazeta Ziemia Kaliska*

#### *Opatówek – wzorem dla całego kraju*

W ostatnich miesiącach przewodniczący Zarządu Gminnego SKP w Opatówku Mieczysław Kocemba gościł kilkakrotnie u prezesa Zarządu Głównego SKP w Warszawie dr Józefa Musiała, prezentując formy pracy i dorobek opatowskich działaczy. Jedno z najbliższych posiedzeń Zarządu Głównego ma być poświęcone tej właśnie tematyce, a dr Musiał zapowiedział także swą wizytę w Opatówku, aby na miejscu przyjrzeć się pracy tej grupy społeczników.

Mieczysław Kocemba skonstruował podnośnik do suszenia zboża – pięciokrotnie zwiększał on wydajność. Był zainstalowany w Gminnej Spółdzielni Samopomoc

Chłopska w Opatówku. Nie wziął za tę żmudną i ciężką pracę żadnego wynagrodzenia.

Nad zalewem postawiono ławki i stoliki z szachownicami obok siedziska wykonane przez pana Mieczysława Kocembę.

Trzeba przyznać, że Mieczysław Kocemba, który przed laty zaczynał dość samotnie swą ambitną działalność, ma dziś w Opatówku i okolicach już spore grono oddanych współpracowników – należą do nich m. in. Jerzy Knop, Roman Idzikowski, Ewa Idzikowska, Stanisław Łazarek, Jan Tylczyński, Jan Rektor, Marek Ekert, Krystyna Drobnik wraz z całą rodziną, Krystyna Łąnduch, Irena Gołębiowska, Marianna Kocemba, Jerzy Nowak, Sabina Lindner, Krystyna Nowakowska, Stanisław Marciniak i inni. To dzięki nim Opatówek stał się wzorem dla całego kraju.

Ziemie Kaliska pisze:

1 sierpnia 1984 roku.

*Jak to dawniej na wsi bywało...*

Opatowska impreza została wysoko oceniona przez władze. W kilka dni po „spotkaniu” grupa organizatorów została zaproszona do Urzędu Wojewódzkiego w Kaliszu, gdzie wicewojewoda Jan Kolenda wręczył opatowianom listy gratulacyjne.

Otrzymali je: Marianna i Mieczysław Kocembowie, Jerzy Lisiak, Roman Idzikowski, Bogdan Glapa, Stanisław Łazarek, Ryszard Nowakowski i Henryka Wojcieszak. W listach tych znalazło się m. in. sformułowanie: „wysokie walory ideowo wychowawcze zaprezentowanych przez Was obrzędów ludowych (...) stały się z jednej strony przeżyciem artystycznym, z drugiej zaś wyrazem szacunku dla pracy rolnika polskiego”. Poza tym państwo Kocembowie otrzymali także dyplomy a cała gmina zbiorową nagrodę 30 tys. zł.

Spotkanie na wsi zostało utrwalone na taśmie filmowej przez ekipę telewizji warszawskiej.

Mieczysław Kocemba za swą działalność zawodowo–społeczną otrzymał szereg odznaczeń państwowo–resortowych, w tym: Medal 30-lecia Polski Ludowej (1974), Złoty Krzyż Zasługi (1977), Zasłużony Działacz Frontu Jedności Narodu (1978), Za zasługi dla Województwa Kaliskiego (1980), Medal 40-lecia Polski Ludowej (1984), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1984), medal Jakuba Szymkiewicza, Zarząd Głównego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego.

Dyplomy: za aktywność w rozwoju ruchu racjonalizatorskiego WSK Kalisz (1965), za aktywną pracę w realizacji zadań społeczno–gospodarczych Gminy (1978), za aktywną pracę przy budowie obelisku w Opatówku 1981 roku, za tworzenie i organizowanie „Spotkań na wsi” w Opatówku Propagujących Postawę Kultury i Trzeźwości w Środowisku Wiejskim (1984), Za długoletnią Aktywną i Wybitną Działalność Na Rzecz Krzewienia Kultury i Trzeźwości w Środowisku Wiejskim (1988).

Jeśli chodzi o imprezy, to były na tyle atrakcyjne, iż władze komunistyczne, pomimo iż mój mąż Mieczysław Kocemba nie należał do organizacji partyjnej, to zawsze gdy zwracał się o jakąkolwiek pomoc nigdy mu nie odmówiono i na każde zaproszenie przybywali gremialnie i gratulowali sukcesu. Pisały też różne gazety: „Ziemia Kaliska”, „Gazeta Poznańska”, „Dziennik Ludowy”, „Trybuna Ludu”, „Południowa Wielkopolska” i „Problemy Alkoholizmu”.

Odwiedzała nas również telewizja z Warszawy i Poznania, uwieczniły na filmie „Spotkania na Wsi”, Dzień Kobiet, wystawę „Ocalić od zapomnienia”.

## Dziedzic - wzorem dla wielu

Konrad Wünsche, właściciel wielkiego majątku Opatówek, był przystojnym, szlachetnym, a przy tym nieprzeciętnie wyrozumiałym człowiekiem. Wszystkich bez wyjątku traktował z szacunkiem, a tym którzy znajdowali się w kłopotcie, starał się pomóc.

Nie przeszkadzało mu w pięknych butach wejść na kartoflisko, gdzie kłęby kurzu unosiły się w powietrzu. Pragnął bowiem zobaczyć, jak jego ludzie dają sobie radę. Nic nie uszło jego uwagi, a gdy wzrok skierował na młodzież, która nie nadążała za wszystkimi, podszedł do jednej z nich, zapytał o jej imię, usłyszał jak nieśmiało wyrzekła Waleria – „ach, będę mówił Walcia”, po czym wziął motykę i pokazał jak trzeba się nią posługiwać, aby zręcznie i szybko napęłnić koszyk ziemniakami. Włodarza zaś zganiał, że krzyczał na nie, zamiast wytłumaczyć, a to jeszcze dzieci.

Po pewnym czasie pani dziedziczka zabrała ową Walcię do pomocy w kuchni, która bardzo była z tej pracy zadowolona. Bo i dużo ciekawych rzeczy zobaczyła i nauczyła się niejednego. W domu była ich spora gromadka i nie było lekko, a tam wiele zyskała.

Ponieważ dziedzic interesował się swymi pracownikami i sporo o nich wiedział, dlatego pod lada pozorem wspierał ich. Pewnego razu zwrócił się do Walci, aby mu wyczyściła buty, które wcale jak mi to ona opowiadała, nie były zabłocone. Zabrała się do pucowania tak szczerze, że lśniły jak lustro i można było się w nich przejrzeć. Nie myślała wcale o zapłacie, ale pan dziedzic wyjął z kieszeni dziesięć polskich złotych i powiedział: „schowaj do kieszeni, przydadzą się.” Dziesięć złotych na ówczesne czasy (przed 1939 rokiem) to było bardzo dużo, jak wspominała pani Bączakowa, pracująca w ogrodzie dziedzica, którym zajmował się pan Cierpka. Był dobrym, oddanym ogrodnikiem. Tam na miesiąc zarabiała 13 złotych i kilogram żyta codziennie. Innym razem, będąc na swym polu w Józefowie, dowiedział się od Edwarda Guźniczaka, który zajmował się wołami, że jego dziecko poparzyło się mlekiem i nic nie mówiąc, udał się do czworaków, do ich mieszkania. Od progu woła na jego małżonkę: „Broncia, co Ty dzieciaka chciałaś w mleku ugotować?”. Znał bowiem wszystkich pracowników, a niektórych z imienia. A że był czuły i hojny, słysząc kwilenie chorego dziecka, gdy sam nie potrafił mu ulżyć w cierpieniu, sięgnął do portfela, wyjął odpowiednią sumę i powiedział „szybko trzeba iść do lekarza”.

Opowiadała mi to dziś już nieżyjąca pani Bączakowa, od której w porę zdążyłam dowiedzieć się różnych ciekawostek. Kiedy pracowała u dziedzica w ogrodzie, to raz w miesiącu była zatrudniana do pomocy przy praniu bielizny, które urządziła pani dziedziczka. Prało się ręcznie, w wielkiej drewnianej wannie (balii), na pralce ręcznej blaszanej oprawionej w drewno. Praca była nielekka, ale pieniędzy więcej otrzymała, wiele rzeczy się dowiedziała i usłyszała, nie mogła jednak zrozumieć i głowiła się,

jak to mogło być, że synowie dziedzica tacy bogaci, chodzili w spodniach, na których przyszyte były łąy na kolanach.

I zwracając się do mnie, pytała „jak pani to pojmuje?” No cóż, mody takiej wówczas nie było, można jedynie tłumaczyć tym, że nie chcieli się zbyt wyróżniać wśród rówieśników, którzy chodzili z łąatami, ze względu na brak pieniędzy na nowe spodnie. Drugi przykład dla niej szokujący, że dziedziczka potrafiła przyjsć do ogrodu i razem ze wszystkimi wyrwała chwasty, robiła to co one. Chętnie rozmawiała na różne tematy, czuła się jedną z nich.

Moje osobiste wspomnienia o jednym z synów dziedzica, imieniem Rysio, który był zaprzyjaźniony z moim starszym bratem Kostkiem. Mieszkaliśmy niedaleko pałacu, chociaż ojciec nasz był krawcem, to mu nie przeszkadzało. Pamiętam jak przychodził pod dom i wołał: „Kostek, Kostek”, a gdy ten się ukazał, Rysio zachęcał „no chodź szybko, idziemy przecież na koniczynę do Kowala”, czyli do pana Kowalkiewicza, tylko on go tak w skrócie nazywał. Myśmy hodowali króliki i Rysio też posiadał kilka sztuk. A jeśli chodzi o koniczynę, to u dziedzica były całe pola ale on pragnął jak inni, chodzić na tak zwaną, jak u nas mówiono charendę, ukrywać się, drzeć ze strachu, aby ktoś nie zauważył jak zrywają, chociaż ona rosła na granicy.

Rysio czuł się normalny, swobodny, jak inni chłopcy, nie okazywał nigdy swej wyższości, że jest synem dziedzica.

Po wojnie, gdy spotkałam go w Kaliszu, pracował w hurtowni spożywczej u pana Doroszewskiego, pytał mnie o brata Kostka, lecz on wyjechał do Nowej Huty. I tak się ich drogi rozeszły. A kiedy w roku 1959 do mych drzwi zapukała nieznajoma pani w towarzystwie mężczyzny, który przywiózł ją samochodem, zapytała o mojego męża. Ponieważ jeszcze nie wrócił z pracy, zatrzymali się na chwilę i usłyszałam pytanie „czy może pani wyjawic swoje nazwisko panienskie?” – oczywiście rzekłam, i posypały się pytania dotyczące mojej rodziny. Pytała co porabia moja starsza siostra Kazia, niegdys pracowała w ogrodzie u dziedzica. A ten Kostek gdzieś wyjechał prawda? Tak, potwierdziłam, wyjechał do Nowej Huty do pracy. Zastanawiałam się kto to może być, że zna imiona moich bliskich, chyba ktoś z rodziny. Twarz znajoma, ale ani rusz nie potrafiłam odszukać w pamięci tej sylwetki.

W tym momencie wszedł mój mąż, przywitał się i zapytał o cel wizyty, a gdy padła odpowiedź, że chodzi o żwir, odrzekł „to trzeba do mojego ojca.” Poprosili by pojechał z nimi, aby wskazać gdzie mieszka. Po powrocie opowiadał, jak ojciec przywitał dziedziczkę i darował jej potrzebną ilość żwiru. Ja oniemiałam, „To była Wünschowa? – Naturalnie. I Ty ją poznałeś? I ojciec też? – Ano też.”

Nie mogłam sobie darować, skąd taka luka w mojej pamięci. Co prawda, zawsze widywałam ją na koniu, w spodniach, butach oficerkach, obecnie inaczej ubrana, uczesana, wreszcie trochę czasu upłynęło, no i zaskoczenie, że tak zacna osoba zaszczyca mój dom swą obecnością.

Następne wspomnienia związane z dziedzicem, to niesamowita historia. Było to już po wojnie, ojciec mój starał się nam przypomniec człowieka, który pewnego dnia w czasie okupacji zastukał do naszych drzwi i poprosił ojca, będącego krawcem, by zszył mu spodnie, które niefortunnie pękły. Ojciec przyjął go życzliwie, mama poczęstowała filiżanką kawy zbożowej z kozim mlekiem, która bardzo mu smakowała, po czym wyszła na podwórko. Przybysz został sam z moim ojcem. Przedstawił się wtedy słowami: „Nazywam się Kubiak, jestem z miasta Łodzi.” Nie wiem, czy to, co opowiedział, działo się tego dnia, czy też w późniejszych wizytach. Był u nas co najmniej trzy razy, co ja zapamiętałam. Ojciec mój nie żyje, więc nie mam kogo zapytać.

Brzmiało to tak: „Wie pan, ja przyjeżdżam do tej Niemki, która przebywa u państwa Augustyniaków (naszych sąsiadów) na tak zwanych letniskach z chorym dzieckiem. Przywożę listy, jakieś papiery od znajomego Niemca, oboje są z Łodzi, on kupuje mi bilet, załatwia przepustkę, ja doręczam jej przesyłkę, zatrzymuję się na dzień lub dwa, zabieram od niej korespondencję, a w międzyczasie odwiedzam waszego dziedzica Wünschego, w celu zakupu dorodnych jabłek. Jabłka są pakowane w wysokich skrzyniach, na wierzchu naklejam kartki z napisem: ostrożnie, szkło! A w skrzyniach proszę pana, w skrzyniach znajduje się broń...”

Nie wiadomo, czy ojciec mój złożył jakąś przysięgę, iż nie zdradzi tej tajemnicy, a może udzielał mu jakichś informacji - tego nie wiem. Dość, że powiedział nam dopiero po zakończeniu wojny. Pamiętam, jak pan Kubiak wypowiedział słowa: „jak skończy się wojna, to przyjadę do Opatówka na białym koniu!”

Ojciec wspominał, że to on na pewno przyjechał ostrzec dziedzica, aby ten ukrył się przed Niemcami, gdyż lista członków AK (do której dziedzic należał) wpadła w ręce gestapo. Można zatem przypuszczać, iż byli razem w konspiracji.

Dziedzic nie zdążył wyjechać, chciał załatwić jeszcze jakąś bardzo ważną sprawę i rano zniknąć. Niestety, Niemcy zabrali go w nocy i tak przed samym zakończeniem wojny, mając zaledwie trzydzieści osiem lat, podzielił los pięćdziesięciu sześciu członków Armii Krajowej, zamordowanych nieludzko przez hitlerowców w lesie Skarszewskim w dniu 19 stycznia 1945 roku. Wyzwolenie Opatówka nastąpiło 23 stycznia, zaledwie cztery dni dzieliły jego i pozostałe ofiary od ocalenia... Bardzo to wszyscy przeżyli: krewni, bliscy, jak i ci, którzy znali tych nieszczęśników.

Pan Kubiak nie przyjechał na białym koniu do Opatówka. Można przypuszczać, że podzielił los swoich kolegów z AK.

Niemka przyjechała po wojnie do Opatówka z Łodzi – do p. Augustyniak. Bardzo ubolewała, że słuch po nim zaginął. Wielka to szkoda, bo był to bardzo uczciwy, wielki i zacny człowiek. Nawet się pokochali. Ona była młodą wdową, której mąż zginął na froncie.

W rozmowie z ludźmi, mieszkającymi w Opatówku i pracującymi u dziedzica, dowiedziałam się wiele ciekawych i godnych naśladowania przykładów. Jest tych ludzi już niewielu i to w sędziwym wieku, ale każde z nich tak ciepło wspomina swych zacnych i dobrych chlebodawców, którzy pomagali nie tylko biednym, potrzebującym ludziom ale i naszej Ojczyźnie.

Dziedzic Konrad Wünsche był oficerem 7 Pułku Strzelców Konnych. W 1939 roku brał udział w walkach nad Bzurą i w obronie Warszawy. Za swą postawę został odznaczony srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari, a pośmiertnie, za pracę w konspiracji - Krzyżem Walecznych. Żona jego Zofia Wünsche, również działała w konspiracji, była łączniczką między Kaliszem, Łodzią i Warszawą.

Po śmierci męża, dziedziczka z trójką dzieci: córka Elżbietą i synami Ryszardem i Krzysztofem byli zmuszeni opuścić posiadłość w Opatówku i zamieszkali w Kaliszu przy ulicy Rzeźniczej. Wraz z nimi była do końca szczerze oddana przyjaciółka rodziny, Walcia, ta prawdziwa Walentyna Mielczarek. Ona pierwsza opłakiwała swą nieodżałowaną panią, która przeżyła 61 lat. Po jej śmierci została nadal w tym mieszkaniu. A kiedy po latach dobiegł kres jej wędrówki ziemskiej, pogrzeb odbył się w rodzinnym Opatówku. Wkrótce po pogrzebie przyjechała córka dziedziczki, pani Elżbieta Wünsche-Wende z Lozanny w Szwajcarii, gdzie zamieszkała na stałe. Odwiedziła grób pani Walci, była również w mieszkaniu zmarłej matki, gdzie obecnie mieszka chrześniaczka pani Walentyny, pani Sabina Mielczarek. Ta zaś, którą pan dziedzic nazywał również Walcią, to pani Waleria Broczek.

Kilkakrotnie byłam na cmentarzu ewangelickim w Kaliszu, przy ulicy Harcerskiej, gdzie spoczywają: Zofia i Konrad Wünsche, syn Ryszard oraz matka dziedziczki Zofia Schlösserowa. Stojąc przy mogile, zapalam znicz, zawsze się bardzo wzruszam i kiedykolwiek przejeżdżam autobusem, spoglądam w tym kierunku i ich wspominam modląc się za ich dusze.

Uczestniczyłam również w uroczystej mszy świętej w intencji działaczy Armii Krajowej, rozstrzelonych w lesie skarszewskim w 60 rocznicę egzekucji, w kościele Garnizonowym w Kaliszu, w dniu 19 stycznia 2005 roku. Było to smutne, wzruszające a zarazem piękne.

W tymże kościele umieszczona jest tablica i nazwiska wszystkich pięćdziesięciu sześciu członków Armii Krajowej zamordowanych przez hitlerowców w lesie skarszewskim.

# Adam Woźniak

Pana Adama poznałam jako człowieka o wesołym usposobieniu.

Moja starsza siostra mieszkała w tym samym budynku co i on. Często ją odwiedzałam i - przechodząc przez wspólne podwórze – miałam możliwość obserwować, jak pan Adam pracował przy samochodzie, otoczony gromadką mężczyzn. Zapewne opowiadał im o swoich przeżyciach. Nie wiedziałam wówczas, że posiadał on tak bogatą i ciekawą przeszłość.

Siostra wspominała, że to bardzo dobry sąsiad i zany człowiek, a w czasie okupacji przeżył piekło na ziemi. Gdy sam opowiadał historię swojego życia, jego oczy zalewały się łzami...

Po latach jego syn (również Adam) zawarł związek małżeński z siostrzenicą mojego męża. Podczas rozmowy z nim dowiedziałam się, że kiedy w roku 1939 jego ojciec wyruszył na wojnę, jego nie było jeszcze na świecie. Urodził się bowiem w listopadzie 1939 roku, a jego ojciec do walki wyruszył dwa miesiące wcześniej. Kiedy powrócił do domu 12 maja 1947 roku, jego syn miał już 8 lat. Z różnych powodów nie mógł jednak powrócić wcześniej. Młody Adam Woźniak przez pierwsze lata swojego życia ojca znał więc jedynie z fotografii. Kiedy go zobaczył po powrocie, przeżył szok. Musiał się uczyć go poznawać. Było to wielkie przeżycie – zarówno dla syna, jak i ojca oraz jego żony.

Z czasem urodził się drugi syn – Henio.

Po 21 latach, w roku 1968 zmarła ich matka, licząc zaledwie 60 lat.

Pan Adam Woźniak do końca swoich dni mieszkał z synami i synową. Wszyscy szanowali się wzajemnie. Wspomniana synowa opowiadała mi, że był to człowiek, jakich mało: ugodowy, uczciwy i wyrozumiały – i to pomimo makabrycznych przeżyć.

Adam Woźniak, syn Antoniego, urodził się 4 sierpnia 1911 roku w Opatówku. Do 1939 roku mieszkał w tej miejscowości.

W dniu 15 sierpnia 1939 roku został zmobilizowany do 29 Pułku Strzelców Kaniowskich w Kaliszu jako kierowca samochodu ciężarowego. Już drugiego dnia wojny odwoził do Łodzi pod konwojem policji niemieckich szpiegów. Następnie wraz z policją pojechał do Łucka, gdzie zgłosił się wraz z samochodem do szkoły lotniczej.

Po wkroczeniu w dniu 17 września 1939 roku do Polski wojsk radzieckich uzupełnił paliwo w samochodzie z samolotów szkolnych i wraz z żołnierzami szkoły lotniczej udał się do Rumunii. Tam, po zdaniu samochodu wojsku rumuńskiemu, zgłosił się do polskiej ambasady, chcąc przedostać się do Francji. Zamiaru tego nie udało mu się jednak zrealizować, bowiem został zatrudniony w polskiej ambasadzie w Rumunii. Pod koniec września 1940 roku wyjechał przez Konstancję i Turcję do Palestyny.

W dniu 16 listopada 1940 roku w miejscowości Hajfa wstąpił do Wojska Polskiego – Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Z Hajfy został skierowany do Ośrodka



Szkolnego w Saturn. W dniu 6 stycznia 1941 roku przydzielono go do 1 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, gdzie podjął naukę w Podoficerskiej Szkole Broni Zmotoryzowanej. Po jej ukończeniu 16 lutego 1941 roku wyjechał na front, najpierw do Marsa Matrun, a następnie do Tobruku. Po walkach obronnych w Tobruku wziął udział (jako mechanik samochodowy) w bitwach: pod Ghazalą i Bardią. Jako żołnierz 1 Pułku Artylerii Lekkiej 3 Dywizji Strzelców Karpackich uczestniczył we wszystkich bitwach II Korpusu Wojska Polskiego we Włoszech: o Monte Cassino, Ankonę i Bolonię. Swoją szlak bojowy zakończył 9 maja 1945 roku w stopniu plutonowego.

W dniu 3 września 1946 roku został wraz z pułkiem przeniesiony z Włoch do Wielkiej Brytanii, gdzie przebywał do maja 1947 roku.

Posiadał następujące odznaczenia:

1) polskie:

- Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami (nr 7374)
- Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino (nr 13 488)
- Odznaka Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (nr 2782)

2) brytyjskie:

- Gwiazda za wojnę 1939-1945 (1939-1945 Star)
- Africa Star
- Italy Star

W 1990 roku za walki w latach 1939-1945 Adam Woźniak otrzymał od prezydenta PRL Krzyż Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Zmarł 1 maja 1991 roku w rodzinnym Opatówku.

# Franciszek Juszczak

Niedaleko Opatówka leży wioska Cienia II. Tam to w styczniu 1914 roku przyszedł na świat Franciszek Juszczak – drugie dziecko Józefa i Katarzyny Juszczaków. Matka wiązała z nim wielkie nadzieje, modląc się o szczęśliwą przyszłość chłopca.

Franciszek niedługo cieszył się beztroskim dzieciństwem. W wieku trzynastu lat zakończył naukę szkolną i był zmuszony pójść na tak zwaną „służbę”, aby zarobić pieniądze i pomóc rodzicom.

Jego rodzice posiadali pięciohektarowe gospodarstwo. Musiała z niego utrzymać się siedmioosobowa rodzina. Franciszek posiadał bowiem jeszcze dwóch braci (Józefa i Edwarda) oraz dwie siostry (Helenę i Janinę).

Na służbie Franciszek przebywał do 18 roku życia. Przez kolejny rok samodzielnie pracował jeszcze u ludzi. Wyrósł na dobrze zbudowanego, przystojnego mężczyznę, toteż nic dziwnego, że służbę wojskową odbył w kawalerii, zostając z czasem podoficerem 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich.

Mając 25 lat Franciszek snuł piękne plany na przyszłość. Na drodze do ich realizacji stanął jednak wybuch II wojny światowej. Pod koniec sierpnia 1939 roku został zmobilizowany do wojska jako dowódca plutonu kawalerii w kolumnie zwiadowczej. Po wybuchu wojny nie zdążył nawet pożegnać się z matką, która dowiedziawszy się, że spotka syna w Kaliszu, przybyła do tego miasta. Jednak rozkaz wymarszu był ważniejszy i pożegnanie mogło odbyć się tylko na odległość. Matka, zalana łzami, powróciła do rodzinnego domu.

Tymczasem Franciszek Juszczak dotarł wraz z oddziałem żołnierzy do Nowego Dworu Mazowieckiego, a stamtąd do broniącej się Warszawy. Po kapitulacji Stolicy część żołnierzy dostała od Niemców przepustki umożliwiające im powrót do domu. Nie dotyczyło jednak kawalerzystów, którzy nie wiedzieli, co się z nimi stanie.

Franciszek marzył o ucieczce i jakimś cudownym sposobem dostał się do transportu jadącego w kierunku Kalisza. Pociąg obsługiwali polscy kolejarze. Nie zatrzymywał się on na stacjach, jednak zwalniał tam swój bieg. Franciszek skorzystał z tej okoliczności i wyskoczył z pociągu w miejscowości Szulec – niedaleko rodzinnego domu.

Jego przybycie przyniosło całej rodzinie wiele radości. Wszyscy cieszyli się, że przeżył wojnę, na której poległo tak wielu żołnierzy. Sam Franciszek był świadkiem śmierci swojego znajomego Józefa Drewicza. Na pytanie siostry tego poległego, co stało się z jej bratem, musiał z wielkim żalem wyznać jej tę tragiczną wiadomość.

Przebywając już w domu Franciszek Juszczak dowiedział się, że żołnierze, którzy wrócili z frontu, mają pod rygorem surowej kary oddać na posterunku policji swój mundur i wojskowe wyposażenie. W jego dokumentach (wystawionych przez Niemców) widniał wpis, że jest szeregowcem, co postanowił wykorzystać. Przy zdawaniu

munduru zamiast swoich ładnych kawaleryjskich butów oddał inne. Niemcy dowiedzieli się jednak o tym, bijąc go okrutnie za to, że śmiał ich oszukać.

Po tym incydencie Franciszek Juszcak zmuszony był do ucieczki i ciągłego ukrywania się po różnych wioskach. Dopiero w 1944 roku Niemcy znaleźli go przy kopaniu rowów w Burzeninie za Sieradzem i zawieźli do sieradzkiego więzienia.

Jako więzień wyznaczony był do pilnowania niemieckich magazynów. Jak opowiadał, pewnego razu przyjechali partyzanci i zabrali tyle wszystkiego, ile im było potrzeba. On sam miał wielką ochotę pojechać z nimi. Obawiał się jednak o los swojej rodziny, która w odwecie mogłaby zostać wywieziona przez okupanta do obozu lub rozstrzelana na miejscu (taki los spotkał rodzinę Piotrowskich z Opatówka). Z możliwości ucieczki tym razem więc nie skorzystał.

Jako więzień Franciszek był bity za cokolwiek: na przykład za to, że ktoś ogolił mu głowę, a on nie chciał wydać, kto to był. Podejrzewano bowiem, że celowo zmienił wygląd, by uciec i jest z kimś w zмовie.

Niemiecki sąd w Sieradzu uznał go za łącznika partyzantów (którym w rzeczywistości nie był) i skazał na karę śmierci. Franciszek Juszcak został wywieziony do siedziby gestapo w Łodzi, a po sześciotygodniowym przesłuchaniu znalazł się w obozie w Radogoszczy.

Nie sposób opisać, co działo się w obozie: nie było co jeść i pić (więźniowie jedli nawet rozmoczony papier!), nie można było się umyć, wszędzie były wszy, brud i nędza, a Niemcy za najmniejsze przewinienia bili, katując często do utraty życia. W konsekwencji ten wysoki, wówczas już trzydziestoletni, dobrze zbudowany mężczyzna ważył 32 kilogramy!

Z Franciszkiem Juszczakiem ten sam los dzielili jego znajomi: Józef Śpież z Cieni II, Stanisław Skurnicki ze Środy Wielkopolskiej i Franciszek Nowak z Ostrowa Wielkopolskiego. Wszyscy oni tam zginęli...

Inny los spotkał jednak Franciszka. Z 17 na 18 stycznia 1945 roku, gdy zbliżał się front i Armia Czerwona, Niemcy przystąpili do likwidacji obozu. Zaczynając od parteru aż do trzeciego piętra, strzelali do więźniów z karabinów maszynowych, następnie zaś podpalili budynki, aby zatrzeć ślady tej zbrodni. Jedynym ratunkiem dla więźniów była ucieczka z płonącego budynku przez otwór w murze. Franciszek Juszcak, znajdujący się na trzecim piętrze, zaczął zrzucać na dół trupy, aby zmniejszyć nieco odległość, jaka go dzieliła od ziemi. Żar był jednak tak okropny, że nie mógł dłużej zwlekać. Skoczył... Niemcy strzelali bez przerwy i jedna kula trafiła go, lecz Matka Boża, której wizerunek nosił na piersiach, ocaliła mu życie. Znalazł się na stercie trupów, zalany zarówno własną krwią, jak i tych nieszczęśników, którzy również próbowali ucieczki – lecz nadaremnie.

Franciszek przeleżał tam dość długo, gdyż strzelanina trwała dalej. Przy dwudziestokilkustopniowym mrozie, osłaniając się ciałami martwych towarzyszy, trwał nieugięty. Dopiero gdy zrobiło się zupełnie bezpiecznie, podźwignął się i poszedł szukać pomocy. Włokąc się, nie zdawał sobie sprawy, że przeszedł około 10 kilometrów z krótkim odpoczynkiem na ławce w parku, gdzie znalazł porzucone futro. Okrył się nim i już prawie zasypiał, gdy olśniło go, że nie może zasnąć, bowiem byłby to już sen wieczny. Uprzytomnił sobie, że jest ranny na siarczystym mrozie i że musi żyć i iść dalej, szukając ludzkiej pomocy. Szedł więc resztkami sił pod osłoną mgły. Nagle w oddali zobaczył migające światelko. Było to domostwo. Gdy do niego doszedł i zastukał do drzwi, otworzyła mu pewna kobieta, która – choć ze strachem – wpuściła go do środka. Była to Anna Budryń, zamieszkała w Łodzi przy ulicy Orzeszkowej.

Opowiedział jej, skąd przybywa. Była tam jeszcze druga kobieta, dość odważna i dziecięcioletni chłopiec.

Kobiety wzruszyły się i okazując wiele serca, nakarmiły i umyły Franciszka, a następnie wraz ze wspomnianym chłopcem odwiozły go sankami do szpitala, w którym przebywał od 18 stycznia do 20 czerwca 1945 roku. W tym czasie obie odwiedzały go, przynosząc często coś do jedzenia.

Lekarze robili, co było w ich mocy, by Franciszek Juszcak odzyskał zdrowie. Podziwiano jego silną wolę, hart ducha, a przede wszystkim ufność w Matkę Bożą, które pomogły mu zbiec z piekła Radogoszczy i przejście tylu kilometrów, będąc rannym i wycieńczonym.

Pana Franciszka pamiętam od bardzo dawna. Dowiedziałam się też, że był w ciężkim obozie w Radogoszczy.

On sam nigdy nie dawał po sobie poznać, że przeszedł taką gehennę. Zawsze wyprostowany, o policzkach jak malowane, z okazałymi wąsami, w błyszczących butach oficerkach i z kapeluszem na głowie przychodził do kościoła w Opatówku, gdzie go poznałam.

Rzucił się w oczy nie tylko postacią. Nigdy nie siadał bowiem w ławce, stojąc zawsze przez całą mszę świętą – jak na audyencji.

Doczekał się trójki dzieci: dwóch córek i syna. Jego żona zmarła tragicznie w 1999 roku w wieku 64 lat.

Spotykając pana Franciszka, przeważnie podczas wychodzenia z nabożeństwa, zawsze kłaniałam mu się z szacunkiem, myśląc: oto człowiek, który oszukał śmierć.

Pan Franciszek Juszcak zmarł w 2005 roku, mając 91 lat...

WSPÓŁCZESNOŚĆ

## OŚRODEK „NOWOCZESNA GOSPODYNIA”

W ośrodku „Nowoczesna Gospodyni” oprócz spotkań z pisarzami, ciekawymi ludźmi, kursami itd. był stały cykl opowiadania bajek, baśni, legend. W każdy czwartek sala wielofunkcyjna pękała w szwach. Dzieci przybywały bowiem z całego Opatówka. W pozostałe wolne dni wyjeżdżałam do Klubów Rolnika Cieni II, Michałowa, Chełmc.

Wszędzie była duża frekwencja. Z dziećmi przybywali starsi bracia, siostry, rodzice i wszyscy zamieniali się w słuch. Czas pobytu zawsze się przedłużał, nikomu nie spieszyło się do domów.

Dzieci były wdzięczne, w rozmowie z nimi dowiadywałam się, że nigdy nikt nie opowiadał im bajek. Niejednokrotnie przebierałam się za wróżkę, bajarkę, aby dzieci mogły sobie wyobrazić jakie kiedyś były prawdziwe bajarki. One jednak wierzyły, że jestem prawdziwą bajarką. Kiedyś gdy przyjechałam do Chełmc, usłyszałam jak dzieci się cieszyły: - „Przyjechała wróżka”, a inne: - „To Pani Bajka!”

I trwało tak od 1975 do 1989 roku. Wtedy to zostały zlikwidowane wszystkie ośrodki „Nowoczesna Gospodyni”.

## OPATOWIANIE DZIŚ

Jak w latach przedwojennych, tak i obecnie ludzie się przemieszczają z Kalisza, pracują w Opatówku i na odwrót - z Opatówka w Kaliszu.

Pracę wykonują na różnych stanowiskach. Na przykład, pani Czesława Adamus, mieszkanka Kalisza pracowała na stanowisku Naczelnika Gminy w Opatówku od 20 czerwca 1985 roku do 15 września 1988 roku.

Opatowianin Leszek Aleksandrak podjął swoją pracę w Komendzie Hufca w Opatówku w latach 1977–1983, a w latach 1983–1984 był zastępcą Komendanta Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego Kalisz. W latach 1984–1988 był Komendantem Chorągwi. Od roku 1988 do 1990 w KW PZPR Kalisz – Kierownik Wydziału. W roku 1996–1998 pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Remontowym sp. z o.o. Kalisz jako prezes zarządu. Następnie był starostą powiatu kaliskiego (w latach 1998–2006) a od 2007 roku posłem na Sejm RP.

Mgr inż. Czesław Jaśkiewicz, zamieszkały w Opatówku, to były wójt w latach 1990–1997. Wykonał szereg inwestycji na terenie gminy, takich jak: budowa nowego budynku Duńczyk przy ulicy Poniatowskiego w Opatówku, budowa sieci telefonicznej w Opatówku, budowa dróg i nawierzchni asfaltowej w Opatówku, Tłokini Wielkiej i Rajsku, wykonanie sieci wodociągowej w 14 wioskach, doprowadzenie magistrali gazowej z Kalisza do Opatówka, budowa sieci gazowej w 14 miejscowościach.

Po ustąpieniu ze stanowiska wójta w 1997 roku pełnił funkcję radnego Rady Powiatu Kaliskiego (do roku 2001).

Mgr Stanisław Kuś, opatowianin, w latach 1966 zastępca dyr. POM w Kaliszu. W latach 1974–1980 dyr. Zakładów Mechanicznych Elektryfikacji Rolnictwa w Kaliszu. Od kwietnia 1980 roku do marca 1991 roku (do przejścia na rentę) dyrektor POM w Kaliszu. Jako radny – Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu i Przewodniczący Komisji Budownictwa tej Rady w końcowej kadencji lat 60., Państwowej Rady Narodowej w Kaliszu w latach jak wyżej, Radny Gminy w Opatówku, w kadencjach 2002–2006 i kadencji 2006 – 2010, w Radzie był wiceprzewodniczący Rady Gminy i Przewodniczący Komisji Oświaty, Kultury, Sportu i Zdrowia. W 2010 roku został wybrany na Przewodniczącego Rady Gminy.

Pan Andrzej Michalski – mieszkaniec Opatówka związany z Kaliszem, od 1967 roku podjął pracę w Kaliskiej Fabryce Pluszu i Aksamitu (Runotex) do 1974 roku pr. fiz. Od 1974–1975 Zarząd Powiatowy ZMW Kalisz – instruktor. W latach 1993–2000 Sejmik Samorządowy Województwa Kaliskiego – dyrektor. Od 2001 do 2009 roku Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie – dyrektor. Pełnione funkcje społeczne: 1994–1998 delegat do Sejmiku Samorządowego Województwa Kaliskiego, od 2000 roku Prezes Zarządu Rejonowego LOK Kalisz, w okresie 2006–2010 Przewodniczący Rady Gminy.

Pani Jadwiga Papierska, urodzona w Opatówku i tu zamieszkuje do dnia dzisiejszego. Po ukończeniu studiów podjęła pracę w Urzędzie Miasta i Powiatu w Kaliszu, z dniem 1 listopada 1972 roku w związku z reformą administracyjną powiat przekształcił się w województwo, to był czerwiec 1975 roku – Starostwo Powiatu w Kaliszu. Zmieniła się tylko nazwa poszczególnych Urzędów ale stanowisko to samo. Inspektor d. s. Rolnictwa, w tym samym budynku i o dziwo przy tym samym biurku. I tak nieustannie przez 37 lat. Na początku autobusem czerwonym z nr 3, później 1A żółtym Opatówek – Kalisz i Kalisz – Opatówek, przemieszczała się codziennie. Pani Jadwiga Papierska nie narzekała, a z pracy była bardzo zadowolona.

Pan Marek Suchorski, zamieszkały w Opatówku, Radny Rady Powiatu Kaliskiego Ziemskiego I kadencji w latach 1998– 2002, w II kadencji, w III kadencji w latach 2008–2010.

Pan Artur Szymczak, pracownik Komendy Hufca i Komendy Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego – Hare mistrz. Pracownik Komendy Głównej OHP w Kaliszu. Dyrektor Centrum Kształcenia OHP w Pleszewie. Obecnie Dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy w Kaliszu. Przewodniczący Rady Gminy 2002–2006.

Pan Paweł Bąkowski, pracuje od 2001 roku w Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej Spółka Akcyjna w Kaliszu na stanowisku Specjalisty Ochrony Środowiska – do dnia dzisiejszego. Od listopada 2006 roku Radny Gminy Opatówek. Od 2011 roku Przewodniczący Rady Gminy Opatówek.

Pan Sebastian Wardecki – opatowianin posiada wykształcenie wyższe, studiował na Uniwersytecie Wrocławskim w 2000 roku Magister Prawa. Podyplomowe studia: Prawo Samorządowe i Samorząd Terytorialny i Gospodarka Lokalna. Pracę podjął w Kaliszu 2 listopada 1999 roku w Credo Sp. na stanowisku referenta do roku 2002. Następnie posiadał własną działalność gospodarczą – ubezpieczenia i bankowość w Kaliszu. Od 25 listopada 2006 Urząd Gminy w Opatówku – Wójt Gminy. Pan Sebastian razem z Krzysztofem Dziedzicem w 2005 roku za namową wikariusza ks. Piotra Szkudlarka reaktywowali z sukcesem Akcję Katolicką Oddział Parafialny Opatówek, inicjując tym samym wiele ciekawych uroczystości, spotkań, wspólnych śpiewów, włączając POAK także w organizację pielgrzymki.

Pan Krzysztof Józef Dziedzic urodzony w Opatówku i tu mieszka. Ukończył Akademię Rolniczą we Wrocławiu (dziś Uniwersytet Przyrodniczy) jako najlepszy absolwent w 2000 roku, kierunek Geodezja i Kartografia w zakresie Geodezji Gospodarczej i Gospodarki Nieruchomościami. Geodeta, mgr inż. Od 2000 roku pracował jako inżynier, później geodeta uprawniony. Od 2003 roku w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa – Biuro Powiatowe w Kaliszu jako specjalista, następnie w Powiatowym Ośrodku Dokumentacji Geodezyjnej i Kartograficznej w Pleszewie jako główny specjalista i przewodniczący ZUDP. Od 5 grudnia 2006 w Urzędzie Gminy w Opatówku jako Sekretarz Gminy. Od 2011 roku pełni funkcję Radnego Powiatu i zasiada w Zarządzie Powiatu Kaliskiego.

## PÓŁKOLONIE W KALISZU

Ksiądz infułat Stanisław Piotrowski, jako pierwszy zorganizował półkolonie dla dzieci z rodzin najuboższych.

Zaproponował aby chętni posiadający uprawnienia do pełnienia funkcji wychowawcy w placówkach czasowych dla dzieci, zgłaszali się do pracy charytatywnie. Zgłosiłam się natychmiast. Uprawnienia posiadałam, gdyż z racji funkcji jaką pełniłam, mianowicie kierowniczkę ośrodka Nowoczesna Gospodyni w Opatówku, taki dokument był mi niezbędny.

I zaczęła się współpraca z najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałam.

Półkolonie odbywały się w Domu Katolickim na ul. 3-go Maja w Kaliszu, od roku 1989 zajęcia były prowadzone na dużej sali.

Wychowawcy: Anna Świerzewicz, Marianna Kocemba, Iza Bonusiak. W późniejszym terminie dołączyły: Alicja Słomianna, Krystyna Wypych. Pomagały: Alicja Bonusiak, Eugenia Taczała, Janina Józefowska, Ewa Rajewska, również pani Irena Wiczorek. Dzieci przeciętnie na każdym turnusie przebywało 45, a turnusów w sezonie były trzy.

Obiady na półkoloniach początkowo były gotowane u ks. Stanisława Piotrowskiego w jego kuchni na piętrze, gotowała pani Zosia i pomagały matki dzieci, uczęszczających na półkolonie, a śniadania i podwieczorki przygotowywałyśmy same. Finansował oczywiście ks. Stanisław. W pewnym okresie udostępniono nam kaplicę przy kościele Opatrzności Bożej na Polnej, w ogrodzie, była tam kuchnia, gdzie zatrudniona została kucharka. Ks. Proboszcz Kliś zakupił zmywarkę gdyż takie były wymogi Sanepidu. Czuliśmy się tam bardzo dobrze. Po jakimś czasie znów wróciliśmy na ul. 3-go Maja do ks. Piotrowskiego. Wówczas dzieci otrzymywały obiady ze stołówek – firmy Helena, dostarczali nam na salę, w pięknych termosach, a przygotowywane były przez kucharzy na ul. Obozowej.

W późniejszych latach Fundacja Haliny Sroczyńskiej przekazywała pieniądze na obiady. Dzieci przychodziły do restauracji na Pięterko w Kaliszu. Obiady były smaczne i pod dostatkiem. Przez cały czas dzieci piły soczki od pani Haliny.

W tym trudnym przedsięwzięciu pomagali dzieciom i nam sponsorzy: pan Paraczyński przez długi okres dostarczał bułki i chlebek na śniadanie a na zakończenie turnusu, to przywoził pyszne drożdżowe ciasto. Mleczarnia również nas wspomagała masłem i serkiem, „Kaliszanka” przekazywała Grzeški, w ciągu trwania turnusów, jak również do paczek świątecznych, które dzieci otrzymywały.

W ostatnim roku półkolonii, bułki i chlebek dostarczał nam pan piekarz z ul. Skarszewskiej.

Listę dzieci otrzymywaliśmy z MOPSu.

Ksiądz infułat Stanisław Piotrowski powołał do życia Kaliskie Stowarzyszenie Charytatywne, do którego wszystkie należałyśmy i od jego założenia, do końca, półkolonie organizowane były pod tą nazwą. Swą działalność, czyli pracę na półkoloniach z dziećmi, zakończyliśmy w roku 2004, gdyż zostałyśmy praktycznie we dwie: Alicja Słomianna i moja skromna osoba, Marianna Kocemba. Pozostałe koleżanki, bądź wyjechały, bądź też miały ważne sprawy rodzinne. Wszystkie byłyśmy w wieku bardzo dojrzałym. Młodzi przyszliby pracować ale choćby za małe wynagrodzenie. Niestety, była to praca charytatywna.

Jako, że byłam od początku do samego końca, to moja praca zamknęła się w 15 latach. Jestem z tej pracy bardzo zadowolona, że mogłam choć w małym stopniu pomóc tym, którzy tej pomocy potrzebowali.



## OPATÓWEK – TŁOKINIA

Opatówek graniczy z Tłokiną i mają ze sobą bardzo wiele wspólnego. Pamiętam jak dziedzic z Opatówka, Konrad Wünsche, wraz z małżonką przejeżdżali konno obok naszego domu, do Tłokini Kościelnej, do tamtejszego majątku Chrystowskich.

Ludzie tam mieszkający byli bardzo zadowoleni ze swego dziedzica. Rozległe pola uprawne, obsiewane były pszenicą, grochem, obsadzone cebulą. Po zbiorach plonów, zostawało wiele nie zebranych resztek na polu, z czego korzystali rozmaici ludzie, nie tylko z Tłokini.

Całe gromady szły z Opatówka, z Kalisza, z koszykami, woreczkami, aby je napęlić dorodną cebulą, grochem, niektórzy nawet zbierali złote kłosy pszenicy.

W Tłokini Wielkiej, były duże plantacje malin, dawniej drzewa owocowe: jabłka, gruszki, czereśnie. Częściowo zostały zlikwidowane na korzyść malin, przede wszystkim czereśnie, gdyż było w nich dużo robaków. Ludzie z Opatówka, jak i z Kalisza mieli zatrudnienie przy zbiorze owoców. Szły całe gromady: starsi, młodzież, nawet starsze dzieci, gdyż była to pora wakacji. Tumany kurzu unosiły się pod niebo, droga była piaszczysta. Ale potem, sama przyjemność, zrywać słodkie, pachnące wówczas owoce malin, no i również je kosztować. A ile przy tym było śmiechu, dobrego humoru, gdyż byli tacy, którzy opowiadali ciekawe historyjki, baśnie, zagadki, co wcale nie przeszkadzało przy zbiorze tych owoców. Nie jeden raz zatrzymał się któryś z gospodarzy i zaszuchał w ciekawej opowieści.

Pamiętam dobrze nazwiska gospodarzy, którzy zatrudniali największą ilość ludzi. W Tłokini Wielkiej, pan Adolf Broczek, był cichym, dobrym człowiekiem, szanował swych pracowników. Następny pan Józef Wange, posiadał duży, piękny dom, jeden z najbardziej okazałych. Przy tym miał bardzo dobre serce.

W czasie okupacji moja starsza siostra Hania, nadal zrywała u niego maliny. Kiedy zaczęły się tak zwane łapanki, przeważnie nocami, musiała się ukrywać, aby nie wywieźli jej do Niemiec na roboty, miała wówczas 16 lat. Mój tato poszedł niezwłocznie do pana Wange z prośbą, czy zgodziłby się na to, gdy przyjdą po nią żandarmi i jej nie zastaną w domu, czy może powiedzieć, że ona pracuje u Niemca pana Wange w Tłokini Wielkiej i nie wróciła na noc? Wange był Niemcem. Oczywiście wyraził zgodę, bez namysłu i żadnego oporu. - Dobrze, proszę tak powiedzieć, a ja potwierdzę. W Tłokini Nowej zaś, dawniej nazywano Kozianowem, także posiadał plantację malin i zatrudniał wiele osób do pracy pan Kiermasz.

Ludzie z Tłokini i Opatówka znali się bardzo dobrze. Tuż po wojnie wiele dzieci z Tłokini chodziło do szkoły w Opatówku. Pamiętam Dankę Witkowską–Sucharską, Królową, Jędrzejakównę, Wisię Wojtuń–Szychtę, Czesława Wietrzycha, a przede wszystkim z Tłokini był nauczyciel pan Franciszek Wolf, uczył rachunków, tak się wówczas mówiło. Z Tłokini do Opatówka chodził na nogach, obok naszego domu, mieszkaliśmy na ul. Św. Jana. Był ojcem Jana Wolfa, późniejszego wójta naszej gminy.

Z Tłokini Nowej chodzili: Stradomska Janina, Stradomska Zofia–Kubiak, Prusówna Maria–Guźniczak, Siewieja Zofia, Pilas, Raszewski, ojciec jego był weterynarzem, później wójtem naszej gminy, przez jakiś czas. Pamiętam pana Trzęsowskiego z Tłokini Wielkiej, który przed rokiem 1939 był posłem na Sejm. Miałam możliwość rozmawiać z nim nie jeden raz, gdyż brat mojego męża był jego zięciem, mieszkali wówczas w jednym domu, a my tam bywaliśmy. To był inteligentny, mądry człowiek, no i reprezentował gminę Opatówek.

## DZIECIŃCE WIEJSKIE

Na przestrzeni lat 1975–1981 odbywały się tak zwane „dziecińce wiejskie”, w okresie nasilonych prac polowych, między innymi w Tłokini Wielkiej. Dzieci przebywały 10 godzin dziennie, od 8.00 do 18.00 po południu. Wychowawczynię: pani dyr. Szkoły Józefa Kot i pani Janina Banasiak, również pani Glapa. Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Opatówku pomagała w organizowaniu, wydatkowała na potrzebny sprzęt, czy zabawki. Dziecińce wówczas były cztery: Sierchów, Rajsko, Winiary, no i Tłokinia Wielka. Kwoty były jednakowe czyli po 1500 zł. Poza tym osobiście odwiedzałam wszystkie te placówki z racji mojej pracy, byłam kierowniczką Ośrodka „Nowoczesna Gospodyni” przy GS „Samopomoc Chłopska” w Opatówku i dużo pracowałam z młodzieżą i z dziećmi. Odwiedzając dziecińce zawiozłam książeczki, trudno dostępne wówczas słodycze, cukierki, galaretki, budynie i kisiele, no i zostawałam z dziećmi na dłużej, aby opowiedzieć im ciekawe bajeczki, wierszyki i pobawić się z nimi.

Już wiadomo, że Opatówek i Tłokinia, żyć samodzielnie nie potrafią, są złączeni jak dwa bratanki.

Od 7 marca 1997 roku mgr inż. Jan Wolf został wójtem gminy Opatówek. Pełnił tę funkcję do listopada 2006 roku.

Nie minęło wiele czasu, jak znów spotkałam się z dziećmi z Tłokini Wielkiej. Zostałam zaproszona, aby zapoczątkować „akcję czytania dzieciom”. Czytałam z własnej książki „Baśnie, legendy, opowiadania”, był to rok 2007.

## INFRASTRUKTURA

Infrastruktura techniczna gminy jest rozwinięta, o jej poziomie świadczą wodociągi we wszystkich miejscowościach, sieć gazowa, siatka dróg lokalnych – dogodne połączenia, własne wysypisko śmieci.

W 2001 roku Opatówek rozpoczął współpracę z włoską gminą Peccioli. Urząd Gminy wydaje własny biuletyn informacyjny pod nazwą „Wiadomości Gminne”.

Opatówek posiada bogatą historię od XIII wieku, która wcześniej została opisana. W gminie dominuje rolnictwo, ogrodnictwo i sadownictwo, wzdłuż wielu dróg rozłożyły się plantacje jabłek, wiśni, malin, są chłodnie i przetwórnice, w rozległych szklarniach rosną pomidory (jedna odmiana nosi nazwę „Calisia”), ogórki i inne warzywa, duże polacie gruntów zajmuje uprawa kwiatów. Tradycje ogrodnictwa są żywe, kultywowane od lat. Przypominają o nich Targi Ogrodnicze i Działkowe „Pamiętajcie o ogrodach” oraz „Święto pomidora i warzyw”, które gromadzą rokrocznie tysiące miłośników kwiatów, warzyw i owoców, oraz ogrodników i sadowników z całej Południowej Wielkopolski.

W gminie działa ponad 800 podmiotów gospodarczych–produkcyjnych, usługowych i handlowych, działają związki producentów.

Droga krajowa nr 12, przebiegająca przez gminę, stanowi doskonale połączenie z całym układem komunikacyjnym kraju. Droga prowadzi z Łęknicy na granicy zachodniej Polski do Dorohuska na granicy z Ukrainą. W latach 2005 – 2006 została gruntownie zmodernizowana. Nic więc dziwnego, że wzdłuż niej wyrastają niczym grzyby po deszczu kolejne firmy np. firma „Hellena” – przedsiębiorstwo produkujące napoje bezalkoholowe, której dziś jest właścicielem Jutrzenka z siedzibą w Opatówku. Jest to całkowicie polska firma. Następnie sprzedaż samochodów (Serwis) Ford – Remico Kaźmierczak, firma „VEGEX” – owoce, warzywa.

Opatówek jest dużym ośrodkiem oświatowym. Na terenie gminy działają: 1 gimnazjum, 1 szkoła podstawowa z filiami, 3 zespoły szkół (obejmujące przedszkola, szkoły podstawowe i gimnazjum), Zespół Szkół Rolniczych, który kształci m. in. przyszłych ogrodników oraz filia Wyższej Szkoły Informatyki w Łodzi. Najnowszymi, najbardziej okazałymi wybudowanymi obiektami oświatowymi i sportowymi są: Gimnazjum w Opatówku, które z halą sportową stanowi ciekawy zespół architektoniczny, sala sportowa w Chełmcach, sala sportowa w Tłokini Wielkiej, boisko wielofunkcyjne w Rajsku, kompleks boisk wielofunkcyjnych Orlik w Opatówku. Władze gminy obecnie planują także budowę nowoczesnego przedszkola publicznego.

Hala jest dumą gminy – służy dzieciom i młodzieży, ale także wielkiemu sportowi. Ponad 600 osób każdorazowo oglądało mecze w ramach rozgrywek polskiej i europejskiej ligi siatkówki kobiet, tu odbywały się mecze Pucharu Polski transmitowane w ogólnopolskich kanałach telewizyjnych.

Z instytucji kultury najbardziej znaną jest Muzeum Historii Przemysłu utworzone w 1981 roku w budynku dawnej fabryki sukna. Jedną z najcenniejszych ekspozycji stałych muzeum jest kolekcja zabytkowych fortepianów i pianin polskich firm.

Muzeum jest wpisane na listę Międzynarodowego Komitetu Dziedzictwa Przemysłowego (TICCIH). Odbywają się tu koncerty i różnego rodzaju imprezy kulturalne, w tym cykliczne imprezy muzyczne Opatówecki Salon Muzyczny”.

Szeroki zakres zadań ma także Gminna Biblioteka Publiczna im. Braci Gillerów w Opatówku. Posiada dwie filie w Rajsku i Tłokini Wielkiej, a od 1999 roku powierzono jej zadania biblioteki powiatowej dla powiatu kaliskiego ziemskiego. Biblioteka jest skomputeryzowana i posiada dostęp do Internetu.

Szeroką działalność prowadzi Gminny Ośrodek Kultury w Opatówku. Od 1990 roku istnieje Towarzystwo Przyjaciół Opatówka, które wydaje czasopismo „Opatowianin”, działają związki – Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych, Emerytów, Rencistów, i Inwalidów, oraz Polski Związek Wędkarski. W życiu społecznym gminy dużą rolę odgrywają formacje ochotniczych straży pożarnych, których jest aż 16. Ochotnicza Straż Pożarna w Opatówku obchodziła w roku 2002 jubileusz 120 lat istnienia.

W wielu wioskach działają Koła Gospodyń Wiejskich. Jest Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej, Świetlica Środowiskowa w Opatówku, jest Ośrodek Zdrowia, lekarze i pielęgniarce, lekarz rodzinny oraz 3 apteki. Jest również Punkt Charytatywny od 1996 roku przy parafii N.S.P.J. Pomaga ludziom samotnym ubogim, dzieciom z rodzin biednych i patologicznych.

Na terenie gminy istnieją cztery kościoły parafialne. Najstarszy z nich św. Michała Archanioła w Rajsku – został zbudowany w XVII wieku. Drewniany kościół św. Jakuba Apostoła w Tłokini Wielkiej zbudowano na początku XVIII wieku, a kościół Narodzenia NMP w Chełmcach w latach osiemdziesiątych XIX wieku.

Obecny kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opatówku powstał na początku XX wieku na miejscu poprzednich budowli sakralnych. Wszystkie parafie należą do najstarszych w Polsce.

Gmina Opatówek ma wiele atrakcji, które czynią z niej interesujący turystycznie region. Mocną stroną gminy jest położenie w odległości 10 km od dużego ośrodka miejskiego, siedziby władz powiatowych – Kalisz oraz dobre połączenie komunikacyjne z tym miastem i miastami wojewódzkimi – Poznaniem, Łodzią i Wrocławiem.

## OBJAŚNIENIA

Podczas pisania tej książki, jeśli chodzi o czasy przedwojenne, korzystałam z Tygodników Opatowskich, czyli Czasopism Poświęconych Sprawom Religijno-Społecznym Parafii Opatówek z roku 1937–1938, które ukazywały się w każdą niedzielę w kiosku przykościelnym.

Wiele wiadomości przekazały mi ustnie osoby starsze: pani Irena Żulicka, pani Anna Kujawa, pani Bączakowa, pani Waleria Broczek, a i w mojej wiernej pamięci zachowało się sporo. A jeśli chodzi o czasy powojenne, to czerpałam wiadomości z Czasopisma Towarzystwa Przyjaciół Opatówka „Opatowianin”, jak również z książeczki której wydawcą jest Urząd Gminy w Opatówku.

Poza tym z kroniki mojego męża Mieczysława Kocemby, także z mojej. I wtedy były wymienione tytuły gazet, które opisywały dane imprezy czy inne ważne wydarzenia.

## O Autorce

W rodzinnym miasteczku przez dwadzieścia lat zajmowałam się kierowaniem opatowskim ośrodkiem „Nowoczesna Gospodyni” prowadząc działalność kulturalno – oświatową, organizując spotkania z literatami i innymi ciekawymi ludźmi. Prowadziłam „Szkołę Zdrowia”, organizowałam różnego rodzaju kursy, spotkania z młodzieżą i dziećmi, opowiadałam również bajki w Ośrodku i w Klubach Rolnika na wioskach.

Od lat siedemdziesiątych XX wieku zaczęłam pisać wiersze okolicznościowe, a później baśnie, legendy oraz opowiadania i wspomnienia. Część swoich wierszy poświęcam osobie papieża Jana Pawła II. Jestem członkiem Stowarzyszenia Kolekcjonerów Pamiątek JP II w Polsce. W 1998 roku w antologii będącej pokłosiem Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego poświęconego postaci św. Józefa znalazł się mój wiersz. Jako samodzielna autorka debiutowałam w 2000 roku książką *Wtedy wszystko było inne i prawdziwe. Baśnie, wspomnienia wiersze* w kaliskim wydawnictwie Kropka. W wydanej przez tę sama oficynę w roku 2003 antologii poetyckiej autorów z regionu kaliskiego pod tytułem *Poezja serca* znalazły się też moje liryki. Również w antologii prozy autorów Ziemi Kaliskiej zostały opublikowane moje dwa opowiadania. W 2003 roku wiersz mój pod tytułem *List z Syberii* został wyróżniony w Wielkopolskim Konkursie Literackim: „Syberia – symbol walki i cierpienia”. W książce poświęconej pamięci księdza Stanisława Piotrowskiego zatytułowanej *Służył w prostocie i miłości* znalazło się również wspomnienie o ks. S. Piotrowskim mojego autorstwa, zatytułowane *To prawie święty człowiek* oraz dwa wiersze: *Na Jubileusz 50-lecia Kapłaństwa* oraz *Na pierwszą Rocznicę śmierci*.

W zbiorze utworów dla dzieci wydanych przez „Gazetę Poznańską”, zatytułowanym „Wielkopolska pisze dzieciom”, wśród nagrodzonych bajek znalazła się również moja pod tytułem: „Teodor i krasnoludki”. W 2005 roku wydano moją następną książkę: „Baśnie i legendy. Opowiadania” (wydawca Ara Promotor z Kalisza). Wiele moich utworów jest publikowanych na łamach „Opatowianina” – Czasopisma Przyjaciół Opatówka, a w latach ubiegłych moje bajki drukowane były w „Echu Kalisza i Ostrowa Wielkopolskiego” jako „Baśnie babci Marianny”.

Za działalność zawodowo–społeczną otrzymałam szereg odznaczeń państwowo–resortowych, w tym:

- Medal 40-lecia Polski Ludowej (1984),
- Srebrny Krzyż Zasługi (1990),
- Odznakę Honorową za zasługi w ruchu przeciwalkoholowym (1982),
- Brązową Odznakę Recytatora (1973)
- Dyplom i Statuetkę za działalność na rzecz Kultury w Powiecie Kaliskim (2004).

Dalsze dyplomy: za zajęcie II miejsca konkursu Recytatorskiego kategoria amatorów (1974), W uznaniu osiągnięć w dziedzinie rozpowszechniania Kultury w Wojewódz-

twie Kaliskim Federacji Towarzystw Kulturalnych Ziemi Kaliskiej (1981), Za ofiarną pracę i osiągnięcia w rozpowszechnianiu Kultury w Województwie Kaliskim (1984), Płk. Dyp. Kazimierz Buczma. Za aktywny udział w organizowaniu imprez „Spotkania na wsi” (1984), Za zajęcie I miejsca w konkursie na opowiadania (2007), Za zajęcie I miejsca w Konkursie na „Bigos Literacki” (2009). Ponadto w 2008 roku Towarzystwo im. św. Brata Alberta nadało mi godność „Zasłużona dla Towarzystwa”.

Należę do kilku organizacji: Towarzystwa Pomocy im. Świętego Brata Alberta, Stowarzyszenia Pamięć Jana Pawła II w Polsce, Klubu Literackiego Erato przy MOK w Kaliszu, Stowarzyszenia im. Haliny Sutarzewicz, Kaliskiego Stowarzyszenia Charytatywnego, Towarzystwa Przyjaciół Opatówka.

Od roku 1996 prowadzę punkt charytatywny przy parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opatówku.